

Barbara Cartland

Kwiaty dla boga miłości

Flowers for the God of Love



Od Autorki

Opis pałacu wicekróla w Kalkucie, rezydencji w Lucknow i Naini Tal oraz opis ceremoniału dworskiego są zgodne z rzeczywistością. Na szczegóły prawdziwej historii Wielkiej Gry trzeba jeszcze poczekać. Cała sprawa zakończyła się niespodziewanie w roku 1903 kiedy, jak wszyscy sądzili, jedynie ponowna mobilizacja całej granicy północno - zachodniej mogła powstrzymać wojska rosyjskie przed wkroczeniem do Kabulu i Peshawaru.

Jednak wbrew tym oczekiwaniom kryzys zaczął ustępować. Rosja została zmuszona do odwrotu przez armię i marynarkę japońską. Japonia i Anglia podpisały w latach 1902 i 1905 dwa traktaty. Wszystko to sprawiło, że równowaga sił w Azji zachwiała się wyraźnie na korzyść Wielkiej Brytanii.

Wreszcie, pod długim oczekiwaniu, na mocy traktatu podpisanego w Petersburgu w roku 1907, Rosja uznała Afganistan za część brytyjskiej strefy wpływów.

Ktoś mógłby spytać, dlaczego? Odpowiedzi należy szukać w szybkim tworzeniu się potężnego państwa niemieckiego za zachodnią granicą Rosji.

To właśnie lęk przed niemiecką potęgą militarną zakończył Wielką Grę.

W roku 1903 pułkownik Francis Younghusband, stojący na czele misji wojskowej w Tybecie, dotarł do Lhasy.

Rozdział 1

1900

Przed Urzędem do spraw Indii zatrzymała się dorożka. Wsiadł z niej mocno opalony mężczyzna i zapłacił woźnicy.

Wchodząc po schodach zauważył, że drzwi są otwarte i młody mężczyzna, o klasycznym wyglądzie dobrze zapowiadającego się dyplomaty, śpieszy ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

- Witaj w domu, majorze Daviot! - rzekł. - Szef czeka na pana i, dodam to od siebie, z niecierpliwością!

Uśmiechnął się, a jego oczy wyrażały niekłamany podziw.

- Bardzo przyjemnie jest być tu znowu - odparł Rex Daviot.

Szli szerokimi korytarzami, których ściany przyozdabiały portrety generalnych gubernatorów, symbole indyjskich rzek i miast. Były tam także rzeźby przedstawiające różnych władców.

Urząd do spraw Indii nie był miejscem towarzyskich spotkań. Sprawiał wrażenie starej, potężnej i ponurej budowli. Działał też powoli i despotycznie. Dzięki ogromnej bibliotece i zgromadzonemu przez lata olbrzymiemu doświadczeniu, jego pracownicy wiedzieli o Indiach więcej, niż jakakolwiek agencja rządowa gdziekolwiek i kiedykolwiek wiedziała o innym państwie.

- Jak było w Indiach, gdy pan wyjeżdżał? - spytał młodzieniec.

- Bardzo gorąco! - odpowiedział Rex Daviot z uśmiechem, który odbierał jego słowom sarkastyczne brzmienie.

- Wszyscy tu umieramy z ciekawości, by usłyszeć o ostatnich pańskich dokonaniach.

- Doprawdy, nie!

- Musi pan zdawać sobie sprawę, majorze, że nie sposób zabronić ludziom snuć domysły, nawet jeśli bardzo mało wiedzą. Zapewniam pana, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby zachować całą sprawę w tajemnicy.

- Mam nadzieję - zauważył oschle Rex Daviot. Mówiąc to wiedział, że tajemnice w dziwny sposób

mają zwyczaj ujawniać się w nieoczekiwanych miejscach. W Indiach na bazarach zwykle mówiło się o aktualnych wydarzeniach na długo przedtem, zanim głównodowodzący miał o nich jakiegokolwiek pojęcie.

Dotarli wreszcie do szerokich, podwójnych mahoniowych drzwi. Młody człowiek, otwierając je, z nutą triumfu w głosie zaanonsował przybysza.

- Major Rex Daviot, sir!

W głębi olbrzymiego pokoju siedział przy biurku mężczyzna.

Podniósł się z wyrazem zadowolenia na twarzy i gdy tylko Daviot znalazł się wewnątrz, wyszedł mu na powitanie.

Spotkali się na środku pokoju. Sir Terence O'Kerry - szef Urzędu do spraw Indii - uściśnął dłoń młodszego mężczyzny.

- Dzięki Bogu, dotarłeś bezpiecznie do domu! Obawiałem się, że coś ci może w tym przeszkodzić.

Rex Daviot roześmiał się.

- Rozumiem, że chciał pan wyrazić zdumienie, iż nie zamordowano mnie lub nie zdemaskowano mojego przebrania.

- Otóż to! - zgodził się sir Terence.

- Chwilami czułem się nieswojo, przyznaję - powiedział przybysz - ale oto jestem, cały i zdrowy. Czy otrzymał pan moje sprawozdanie?

- Jest niewiarygodne i tak pasjonujące, że miałem wrażenie, jakbym czytał młodzieńczą powieść przygodową.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Rex Daviot z błyskiem zadowolenia w oku.

Oczy miał ciemnoszare. Kolor ten bywał niezwykle przydatny w takich okolicznościach, gdy inny, bardziej określony, mógłby z łatwością go zdradzić.

- Mam ci dość dużo do powiedzenia - stwierdził sir Terence. - Usiądź, Rex, i pozwól mi zacząć od początku.

Daviot wydał się lekko zaskoczony, ale wnet rozsiadł się na jednym z zielonych skórzanych foteli stojących po obu stronach kominka.

Sir Terence usiadł naprzeciw i zaczął poważnym tonem:

- Nie muszę ci mówić, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni. Wszystko, czego się dowiedziałeś w czasie ostatniej misji, będzie miało daleko idące konsekwencje.

- Mam nadzieję, że zachował pan ostrożność i rozmawiał na ten temat z możliwie najmniejszą liczbą osób - odparł Rex Daviot. - Chcę tam wrócić, a w Indiach nawet piasek ma uszy.

- Brałeś udział w tak wielu przygodach, że nie możesz oczekiwać od ludzi, by nie traktowali cię jak bohatera.

- Mam nadzieję, że nic podobnego nie robią!

- No cóż, nawet królowa jest zachwycona twoimi dokonaniem.

- Jej Wysokość jest bardzo łaskawa, ale, mówiąc całkiem szczerze, chcę wrócić jak najszybciej i kontynuować swoją pracę. Jeszcze tyle pozostało do zrobienia!

- Nikt tego nie wie lepiej niż ja - odrzekł sir Terence - ale wyłoniły się inne ważne sprawy.

Opalone czoło Daviota przecięła zmarszczka, a jego szare oczy stały się zimne jak stal.

- Inne sprawy? - zapytał.

- O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać.

- Słucham, ale mam nadzieję, że te plany nie przeszkodzą mi dotrzeć do północno - zachodniego pogranicza.

- Nic takiego nie zrobią, ale prawdopodobnie pojedziesz tam w innej roli.

- Do czego pan zmierza?

- Królowa chce cię mianować gubernatorem północno - zachodnich prowincji!

Sir Terence mówił spokojnie, lecz mężczyzna siedzący naprzeciwko odebrał te słowa jak wybuch bomby.

- Gubernatorem prowincji? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Jej Wysokość uważa, że to stanowisko słusznie ci się należy, a ja się z nią zgadzam.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiesz równie dobrze jak ja, że nie możesz ciągle bezkarnie się narażać. Odnosiłeś jak dotąd fantastyczne sukcesy, ale...

- Sądziłem raczej - przerwał Rex Daviot - że to wystarczający powód, abym robił to dalej...

- Mogę ci także zdradzić - kontynuował sir Terence - że twój awans spotkał się z aprobatą wicekróla.

- Sądziłbym raczej, że ze wszystkich ludzi właśnie on powinien najbardziej się sprzeciwić z tej prostej przyczyny, że moja działalność ułatwiała mu sprawowanie urzędu.

- On to wie, ale zdaje sobie jednocześnie sprawę, że stanowisko gubernatora prowincji zwolniło się w dość tragicznych okolicznościach.

Rex Daviot przez chwilę milczał.

Wiedział, jakie to były tragiczne okoliczności i rozumiał, że ta propozycja stanowi wyraz najwyższego szacunku.

Jednocześnie buntował się przeciwko formalnościom protokołu dyplomatycznego i przesadnej władzy, jaką to stanowisko ze sobą niosło.

Nikt lepiej od niego nie rozumiał, jak ważną rzeczą było mieć w rządzie właściwego człowieka, szczególnie teraz, gdy

pogranicze Indii było coraz częściej niespokojne, a walki między tubylcami z powodzeniem inspirowane przez Rosjan.

Już podczas podróży do domu zastanawiał się, kto zostanie mianowany gubernatorem północno - zachodnich prowincji, ale nawet przez chwilę nie podejrzewał, że sam otrzyma to stanowisko.

Ponieważ milczał dalej, sir Terence podjął:

- Chcę jeszcze dodać, że jeśli przyjmiesz to stanowisko, Jej Wysokość zamierza nadać ci godność para.

- Na miłość boską, dlaczego para?

- Z kilku powodów - odparł sir Terence z uśmiechem - ale przede wszystkim dlatego, że w każdych innych okolicznościach otrzymałbyś wysokie odznaczenie wojskowe za ostatnią ekspedycję. Ale to by tylko zwróciło uwagę na twoją osobę. A to jest chyba ostatnia rzecz, jakiej byś pragnął.

Przerwał, a potem zaraz podjął:

- Zazwyczaj gubernator prowincji posiada tytuł i, jak zapewne wiesz, ostatnich sześciu było kawalerami orderu albo baronetami.

- Ale dlaczego godność para? - nie mógł się nadziwić Daviot.

- Jej Wysokość życzyła sobie okazać ci swoje uznanie, a nikt z nas nie mógł wymyślić lepszego sposobu.

- Pan mnie wprawia w zakłopotanie, sir.

- Nieczęsto zdarza mi się mówić do kogoś w ten sposób - ciągnął sir Terence. - Byłeś nie tylko wspaniały, lecz także ocaliłeś życie setkom, jeśli nie tysiącom ludzi, którzy zostaliby wciągnięci w zasadzkę i zamordowani z nieprawdopodobnym okrucieństwem.

Nie było tajemnicą, że tubylcy z południowo - zachodniego pogranicza nie dopuszczali do szybkiej śmierci swoich ofiar. Tortury i rany, jakie zadawali swym jeńcom,

nawet u najtwardszych żołnierzy wywoływały torsje na widok okaleczonych ciał.

Jakby łatwiej mu było myśleć na stojąco, Rex Daviot podniósł się i podszedł do okna.

Wyrzwał na zewnątrz, ale nie widział ani szarych dachów, ani drzew w St. James's Park, ani nawet ulicznego ruchu.

Zamiast tego ujrzał puste, nagie skały, które mogły kryć groźnego krajowca, uzbrojonego w karabin lub ostry nóż. Mógł go wbić w ludzkie ciało bez żadnego ostrzeżenia.

Północno - zachodnie pogranicze Indii było jednym z najbardziej legendarnych miejsc na ziemi. Żaden inny obszar nie był świadkiem tylu rzezi, intryg, aktów odwagi, okrucieństw, ale także poświęceń i dowodów cierpliwości.

Po chwili milczenia powiedział głośno:

- Proszę przekazać Jej Wysokości wyrazy najgłębszego szacunku i wdzięczności oraz powiedzieć jej, że choć głęboko sobie cenię godność, jaką chciała mnie obdarzyć, nie mogę skorzystać z tego przywileju.

- Czy to znaczy, że chcesz odmówić? Możesz podać jakiś powód?

- Jeśli to tylko dla pańskich uszu, powód jest dość prosty - wyjaśnił Rex Daviot. - Nie stać mnie na to!

Zapadła cisza, gdyż obaj wiedzieli, że ważne stanowiska w Indiach, począwszy od wicekróla, stanowiły ogromne obciążenie dla prywatnej kiesy.

Stanowisko wicekróla kosztowało tak dużo, że ktoś, kto nie posiadał prywatnej fortuny, nie mógł go po prostu przyjąć.

To samo dotyczyło pozostałych znaczących stanowisk w Indiach - gubernatorów Madrasu i Bombaju, gubernatora północno - zachodnich prowincji i władcy Pendżabu.

Rezydent Hajdarabadu miał nieco niższą skalę wydatków, ale nawet on musiał dokładać do urzędowej pensji, która w

żadnym razie nie starczała na pokrycie kosztów związanych z przyjęciami i wymaganym poziomem życia.

- Tak się złożyło - ciągnął Rex Daviot - że miałem spore wydatki rodzinne, co zwiększyło mój dług wobec banku do nieprzekraczalnych, jak sądzę, granic! Dlatego pozostanę na obecnym stanowisku.

W jego głosie nie słyhać było żalu, a sir Terence wiedział, że bystry i przenikliwy umysł Rexa ocenił całą sytuację w ciągu kilku chwil.

Podjąwszy decyzję, odsunął dalsze myśli na bok i nie czuł już rozgoryczenia.

- Odniosłem wrażenie, że to była twoja odpowiedź - rzekł sir Terence po dłuższej chwili milczenia.

Rex Daviot odwrócił się z uśmiechem.

- Zna mnie pan od co najmniej dziesięciu lat, sir. Wie pan wszystko o moich prywatnych sprawach.

Była to aluzja do znanego im obu faktu, iż ojciec Rexa Daviota roztrwonił większą część rodzinnego majątku, a potem uległ wypadkowi w czasie polowania i stał się inwalidą.

Jego jedyny syn i spadkobierca stanął w obliczu konieczności polegania całkowicie na własnej przedsiębiorczości.

Sir Harold Daviot urodził się w niewłaściwym stuleciu. Powinien był żyć za panowania króla Jerzego IV, kiedy to od eleganta wymagało się, by był rozpustny i rozrzutny.

Ale za czasów królowej Wiktorii sir Harold swym stylem życia zyskał opinię ekscentryka i co bardziej szacowni obywatele zamykali przed nim drzwi swoich rezydencji.

Rex Daviot przypominał zaś swego pra - pradziadka, wybitnego i wspaniałego żołnierza, który był generałem dowodzącym bengalskimi lansjerami za czasów Clive'a.

Kiedy sir Harold został złożony niemocą i przykuty do wózka inwalidzkiego, jego syn niemal niezauważalnie wziął na siebie zadanie spłacenia długów ojca i poprawienia kondycji tak żałośnie zaniedbanych dóbr rodzinnych w hrabstwie Northumberland.

Odkrył również, że musi wspierać finansowo pewną liczbę pań, które jego ojciec obdarzał wzglęдами, a potem porzucał. Panie miały oczywiście z nim dzieci i były niezmiennie bez grosza.

Samo to było dostatecznym obciążeniem finansowym, a dochodziły jeszcze wciąż rosnące wydatki na lekarzy. Ponieważ sir Harold był unieruchomiony w fotelu na kółkach i niewiele mógł robić, intensywnie wziął się za hazard i nie chodziło wyłącznie o wyścigi konne.

Sir Terence zdawał sobie sprawę, że Rex Daviot wziął na swoje barki ciężar, który by zatrwożył niejednego o słabszym charakterze i mniejszych zasobach zdrowego rozsądku, i że czynił to z humorem, bez narzekania.

- Rozumiem i współczuję, i właśnie dlatego mam ci do przedłożenia pewną propozycję - powiedział ostrożnie sir Terence.

- Inną pracę? - spytał Rex Daviot.

- Niezupełnie. W rzeczywistości dotyczy tej, którą właśnie odrzuciłeś.

- Jak mam to rozumieć?

- Właśnie chcę ci to powiedzieć.

Wiedząc, że tego się od niego oczekuje, Rex Daviot wrócił spod okna na fotel, na którym przedtem siedział.

- Papierosa czy cygaro? - zaproponował sir Terence siadając.

Rex Daviot potrząsnął głową.

- Ani tego, ani tego, dziękuję. Rzuciłem palenie dawno temu. Hindusi mają ostry wędch. Tragarz lub rikszarz

zalatujący drogimi hawańskimi cygarami wydałby się zdecydowanie podejrzany.

Sir Terence roześmiał się.

- Czy to twoje ulubione przebrania?

- Nie. Wschód słynie fakirami i nie umiem zliczyć, ile znam nieskutecznych modlitw i zaklęć w kilkunastu różnych dialektach.

Obaj się zaśmiali i dźwięk ten jakby zmniejszył napięcie. Rex Daviot odchylił się w fotelu i rzekł:

- Proszę mi powiedzieć o tej drugiej propozycji.

- Jej Wysokość wysunęła ją pierwsza - odpowiedział sir Terence. - Pomimo że pragnie gorąco, byś objął proponowane stanowisko, prosiła mnie, bym ci przekazał, iż uważa za niezbędne, aby gubernator północno - zachodnich prowincji był człowiekiem żonatym!

Przez chwilę Rex Daviot wpatrywał się ze zdumieniem w siedzącego naprzeciw niego mężczyznę. Wreszcie rzekł zdecydowanie:

- No, cóż! To mnie wyklucza! Nie złożyłem jak dotąd ślubnej przysięgi i nie mam zamiaru tego uczynić!

- Dlaczego nie? - zapytał sir Terence.

- Odpowiedź jest prosta. Żadna kobieta nie zgodziłaby się dzielić mój tryb życia, jaki wiodłem do tej pory, i nigdy jeszcze nie udało mi się spotkać takiej, z którą pragnąłbym dzielić przyszłość.

- Jestem całkiem pewien, że było sporo chętnych na to miejsce - sucho zauważył sir Terence.

- Niezupełnie chodziło o małżeństwo - skrzywił się Rex.

- Już czas, byś się ustatkował - rzucił sir Terence. - Tytuł baroneta został nadany Daviotom w dawnych czasach i prędzej czy później będziesz musiał mieć spadkobiercę.

Obaj zdawali sobie sprawę, że jedną z przyczyn, dla których królowa nie nadała wcześniej tytułu lorda Rexowi

Daviotowi, był fakt, iż jego ojciec jako szósty baronet nie przysporzył ich starożytnemu i szacownemu nazwisku dobrej sławy.

Jednocześnie Rex Daviot dumny był ze swego pochodzenia i z faktu, iż, z niechlubnym wyjątkiem jego ojca, w ciągu ostatnich trzystu lat historii ród Daviotów zawsze wiernie służył krajowi.

- Mam jeszcze sporo czasu - odparł.

- Czyżby? - spytał sir Terence. - Sądzę raczej, biorąc pod uwagę ryzyko, jakiego się podejmujesz, że najwyższy czas, byś przypomniał sobie, iż twój syn będzie ósmym baronetem lub drugim lordem Daviot!

- Już mówiłem, że się na to nie zanosì.

- Istnieje taka szansa, jeśli zechcesz wysłuchać tego, co próbuję ci powiedzieć.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie wiem, czy spotkałeś kiedykolwiek mojego brata? - zaczął sir Terence.

Rex Daviot potrząsnął głową.

- Umarł rok temu. Lubił ryzyko i miał wyjątkowe zdolności robienia pieniędzy. Zmarł jako zdumiewająco bogaty człowiek!

Rex uniósł nieznacznie brwi, ale słuchał uważnie, zastanawiając się jednocześnie, w jakim stopniu może go to dotyczyć.

- Mój brat miał tylko jedno dziecko - ciągnął sir Terence - córkę, która mieszka wraz z moją żoną i ze mną od półtora roku. Odziedziczyła tak ogromną fortunę, że oboje z żoną sądzimy, iż o dawna powinna być zameżna.

- Na czym polega trudność? - spytał Rex Daviot. Domyślił się, dokąd prowadziła dyskusja, i wiedział również, jaka będzie jego odpowiedź.

- Quenella przybyła do nas po śmierci ojca - kontynuował sir Terence - mając dziewiętnaście lat. Dużo podróżowała z moim bratem, ciągle byli w drodze, nigdy więc nie miała czasu nacieszyć się ciepłem domowego ogniska czy znaleźć przyjaciół, z którymi by miała wspólne zainteresowania.

Gdy tak opowiadał, w jego głosie brzmiała zaduma.

- To dziwna dziewczyna, niezwykle inteligentna i odcytana. Jednocześnie nie będę udawał, że ją rozumiem. Być może jest tak dlatego, iż w jej żyłach płynie rosyjska krew, a obaj wiemy, że Słowianie są nieobliczalni.

- Rosyjska krew!

- Jej prababka była Rosjanką, księżniczką, która do szaleństwa zakochała się w moim dziadku, gdy ten był dyplomata w Sankt Petersburgu. Musieli czekać pięć lat, by się pobrać, gdyż choć ona była wdową, moja babka żyła. Była nieuleczalnie chora umysłowo, ale wciąż jeszcze żyła!

Przerwał, jakby dając Rexowi czas na przetrwanie tego, co mu właśnie powiedział, po czym kontynuował z uśmiechem:

- Rosyjska, angielska i oczywiście irlandzka krew. Czego można oczekiwać od skomplikowanej, pięknej, bardzo tajemniczej młodej kobiety, która, według moich odczuć, jest zagadkowa jak Sfinks i śliczna jak Kleopatra w jej wieku.

- Nakreślił pan bardzo promienny obraz - zauważył Rex z niezauważalnym uśmiechem; zdawał sobie sprawę, że sir Terence celowo stara się go zaintrygować.

- Moja żona prowadziła życie towarzyskie z myślą o Quenelli i nie ma potrzeby dodawać, że dziewczyna cieszyła się wyjątkowym powodzeniem. Do naszego domu zaczęły napływać zaproszenia od wielkich dam. Nawet królowa w naszej obecności komplementowała urodę Quenelli, kiedy została przedstawiona na dworze.

Spojrzał spod oka na Daviota, a potem odezwał się stłumionym głosem:

- I wtedy, przed dwoma miesiącami, spadło na nas nieszczęście!

- Co się stało?

W jego głosie pobrzmiwało teraz zainteresowanie, czego sir Terence nie omieszkał zauważyć.

- Na przyjęciu w zamku Windsor Quenella spotkała księcia Ferdynanda Schertzenberga!

- Tego bydlaka!

Okrzyk ten wyrwał się Daviotowi nieumyślnie.

- Tak, właśnie! - potwierdził sir Terence. - I choć zgadzam się z tobą, że powinno mu się zabronić wstępu do każdego salonu w kraju i wyrzucić z każdego domu, w którym mieszka dżentelmen, niemniej jest on znaczącą postacią w Europie i bardzo dalekim, ale wciąż krewnym królowej.

- Co się zdarzyło?

- Prześladował Quenellę w sposób godny szczególnego potępienia. Jest poza tym żonaty, a skończyły się już czasy władczych i niemoralnych monarchów - zwłaszcza na zamku Windsor!

- Jakie są odczucia owej młodej kobiety w tej kwestii?

- Nie cierpi go! - krótko odparł sir Terence. - Powiedziała mi, że gdy tylko się do niej zbliża, czuje do niego obrzydzenie jak do płaza lub gada.

Sir Terence przerwał, ale historia musiała przecież mieć jakieś zakończenie, więc Rex spytał:

- Co się potem przydarzyło?

- Książę nie chciał pozostawić Quenelli w spokoju. Bombardował ją listami, kwiatami, prezentami; wreszcie powiedziałem mu, że chyba już dosyć.

Sir Terence westchnął.

- Nie przyszło mi to łatwo, ale księżę zachowywał się nadzwyczaj arogancko - tylko Niemcy tak potrafią. Zagroził mi nawet, że moje postępowanie może narobić dyplomatycznego zamieszania, jeśli nie przestanę się wtrącać, i że spowoduje moje zwolnienie!

- Wielki Boże! - wyrzucił z siebie Rex Daviot. - Chyba nie wziął pan tego serio?

- Zapewniam cię, że Jego Księżęca Wysokość mówił to bardzo serio, lecz uprzedziłem go, że jeśli dalej będzie się zachowywać w ten sposób, poinformuję o wszystkim królową.

- Czy to go uciszyło?

- Wpadł w furję, ale odniosłem wrażenie, że jak wszyscy boi się Jej Wysokości i że w przyszłości będzie się lepiej zachowywać.

- Czy to zakończyło całą sprawę?

- Wprost przeciwnie - odparł sir Terence. - Tylko zepchnęło ją do podziemia. To, co jawne, jest łatwiejsze do opanowania.

Mówiąc to zdawał sobie sprawę, że Rex Daviot aż nadto dobrze rozumie go, gdyż bunt i intrygi narodowościowe wszczynane przez Rosjan zawsze znajdowały dobrą pożywkę w represjach i braku jawności życia politycznego.

- Co on uczynił?

- Zaaranżował bez powiadomienia mnie - odparł sir Terence - zaproszenie go na pewne przyjęcie, na którym miała być również Quenella. Niestety, ani ja, ani moja żona nie planowaliśmy jej towarzyszyć. Pani domu należała do naszych najbliższych przyjaciół i moja żona była uszczęśliwiona, że może zostawić dziewczynę pod jej opieką.

Sir Terence przerwał, po czym kontynuował:

- Skąd, u licha, miałem wiedzieć, że on wprosi się w ostatniej chwili i wykorzysta fakt, iż pani domu jest osobą godną zaufania, a Quenella niewinnym dziewczęciem?

W głosie sir Terence'a słysząc było nietłumioną wściekłość.

- Księżę wtargnął do sypialni Quenelli, siłą zerwał z niej ubranie i usiłował ją zgwałcić!

- Nigdy dotąd nie słyszałem czegoś równie oburzającego!
- wykrzyknął Rex. - Zawsze wiedziałem, że nie jest godny, by przyjmować go w przyzwoitym towarzystwie, i że jest draniem pierwszej kategorii, ale to przechodzi granice zdrowego rozsądku i jest nie do pomyślenia nawet w przypadku zadufanego w sobie Niemca!

- Na szczęście ktoś w pokoju obok usłyszał krzyki Quenelli - kontynuował sir Terence - ale, prawdę mówiąc, omal nie doszło do najgorszego i dziewczyna jest w stanie szoku.

- Czy zemdląca lub załamała się nerwowo?

- Byłoby chyba lepiej, gdyby tak się stało - odpowiedział sir Terence. - Nie, po prostu zamknęła się w sobie.

Spostrzegł, że Rex nie rozumiał.

- Trudno ująć w słowa to, co się zdarzyło. Quenella zawsze była dumna, wyniosła i odnosiła się z rezerwą do innych ludzi. Jak już uprzednio mówiłem, przypisywałem to skomplikowanemu rodowodowi, lecz po tej historii z księciem Ferdynandem...

Przerwał, jakby szukając właściwych słów, ale Rex - na dobre już tym zaciekawiony - niemal natychmiast rzucił:

- Proszę mówić dalej!

- To tak, jak gdyby wzniosła mur między sobą a resztą świata. Jest miła i uprzejma w stosunku do mnie i mojej żony, ale poza tym odmawia kontaktów z kimkolwiek z zewnątrz. Odnoszę wrażenie, choć nie powiedziała mi tego, że zniechęciła mężczyzn!

- Nie ma się czemu dziwić - rzekł Rex Daviot.

- Odrzuca zaproszenia na przyjęcia i inne spotkania towarzyskie.

- Czy obawia się spotkać tam księcia?

- Mam uzasadnione podejrzenie, że on wciąż próbuje nawiązać z nią kontakt - odpowiedział sir Terence - ale nawet jeśli Quenella jest pewna, że go tam nie spotka, nadal drze każde zaproszenie.

- Podejrzewam, że wciąż jest pod wpływem szoku.

- Chciałbym, żeby tak było. Napawa mnie strapieniem myśl, że to coś głębszego, coś, co może wpłynąć na jej całe życie i psychikę.

Rex Daviot uśmiechnął się sceptycznie, sir Terence dodał więc pośpiesznie:

- Oto dlaczego proszę cię o pomoc.

- O pomoc? A cóż ja mogę zrobić?

- Możesz ożenić się z Quenellą i zabrać ją stąd!

Nastąpiła pełna osłupienia cisza. Rex Daviot chrząknął dyplomatycznie i zapytał:

- Czy pan aby jest przy zdrowych zmysłach?

- Spójrz na to inaczej, a zrozumiesz, że to dość logiczna propozycja. Kocham Quenellę i dlatego pragnę, żeby wyjechała. Chcę, żeby całkowicie uwolniła się od księcia, a jedynym tego sposobem jest zamążpójście. Mąż będzie jej bronił, a ja, mówiąc szczerze, nie jestem w stanie tego uczynić.

- Dlaczego?

- Ponieważ księżę może mi narobić nieobliczalnych kłopotów, jeśli będę mu się nadal przeciwstawiał.

Sir Terence mówił szczerze i Rex Daviot zdawał sobie sprawę, że jego słowom nie można odmówić słuszności.

Szef Biura do spraw Indii to odpowiedzialne stanowisko i konflikt z księciem nie wyszedłby na dobre zarówno sir Terence'owi, jak i całemu królestwu.

Rex Daviot wiedział, iż przedmiotem szczególnej dumy sir Terence'a było to, że otrzymał nominację w stosunkowo młodym wieku. Dzięki swoim kwalifikacjom był na tym stanowisku niezastąpiony. Gdyby teraz zrujnowano mu karierę i zmuszono do odejścia, byłaby to niepowetowana strata zarówno dla Wielkiej Brytanii, jak i dla Indii.

Jakby czytając w myślach Daviota, sir Terence kontynuował:

- Mam nieodparte wrażenie, że gdybyś nawet zdecydował się ożenić z jakąś młodą dziewczyną, aby móc przyjąć stanowisko gubernatora prowincji, to i tak nie znasz ich za wiele, z wyjątkiem słynnej rybackiej flotylli!

Był to żart, gdyż dziewczęta jeżdżące co roku do Indii w nadziei znalezienia męża nazywano rybacką flotyllą, te zaś, które powracały nie osiągnąwszy sukcesu w poszukiwaniach, określano jako „puste kutry”.

Rex Daviot zachował poważny wyraz twarzy, więc sir Terence kontynuował:

- Jest to według mnie bardzo rozsądna propozycja. Ty potrzebujesz pieniędzy, Quenella zaś musi mieć męża, który ją obroni i zabierze tam, gdzie nie dosięgnie jej ręka księcia. Czemu więc nie przemyśleć takiego układu?

Kiedy sir Terence skończył mówić, cisza zdawała się być jeszcze bardziej przejmująca.

- Czy naprawdę mówi pan poważnie? - spytał Rex Daviot wolno cedząc słowa.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny! - potwierdził Terence. - I nie będę udawał, że nie jestem osobiście zainteresowany twoją odpowiedzią.

Westchnął głęboko, po czym znów podjął:

- Proszę cię o pomoc, Rex. Prawdę mówiąc, znalazłem się w niezłych tarapatach i nie widzę z nich innego wyjścia!

Szczerłość jego intencji nie ulegała wątpliwości i właśnie to bardziej niż cokolwiek innego spowodowało, że Rex Daviot wstrzymał się z kategoryczną odmową, którą już miał na końcu języka.

Wiedząc, iż starszy mężczyzna czeka z niecierpliwością na jego odpowiedź, odezwał się z wahaniem:

- Potrzebuję czasu na przemyślenie tego i bez żadnych zobowiązań spotkam się z pańską bratanicą.

Oczy sir Terence'a rozjaśniły się.

- Czy rzeczywiście tak myślisz? Mój Boże, kamień spadłby mi z serca!

- Jeszcze nie powiedziałem, że godzę się na pańską niecodzienną propozycję; to dość bezprecedensowe rozwiązanie mojego losu i pańskich kłopotów - ostrzegł Rex Daviot.

- Wiem o tym - przytaknął szybko sir Terence - ale tonący brzytwy się chwyta.

Spojrzał błagalnie na Rexa Daviota i rzekł:

- Być może uważasz, że to niedorzeczne, by człowiek na moim stanowisku obawiał się w gruncie rzeczy nic nie znaczącego niemieckiego księcia. Może się zdarzyć, że wszystko, co udało mi się zbudować w ciągu ostatnich dwóch lat, siatki, które z taką dbałością zorganizowałem, agenci rozmieszczeni w różnych częściach Indii i odpowiedzialni tylko przede mną, może zostać rozbite i zrujnowane.

Przerwał i po chwili dodał:

- Lub raczej, powinienem powiedzieć, spalone na popiół z powodu działań nieokiełznanego rozpustnika!

Było to z pewnością celne określenie!

- Cała rzecz polega na tym, że poza tymi czterema ścianami - ciągnął sir Terence - muszę odnosić się do niego z szacunkiem. Tego wymaga jego pozycja.

Rex Daviot wiedział, że sir Terence nie przesadza, lecz cel z trudem tylko mógł uświęcać środki.

Zdawał sobie również sprawę, że reperkusje odmowy nie byłyby szczególnie przyjemne: tak naprawdę czy mógł nie przyjąć od królowej nagrody za swoje usługi i odrzucić największy zaszczyt, jakim kiedykolwiek w swej karierze mógł być obdarowany?

Podświadomie zdawał sobie sprawę, że mógłby kontynuować swoją pracę w odmienny, choć równie skuteczny sposób, mając w północno - zachodnich prowincjach zupełnie inną pozycję.

Nie jest też możliwe, żeby podobna propozycja spotkała go kiedykolwiek w życiu, a nawet jeśli tak, to upłynęłoby wiele czasu.

Bez względu na to, jak ostrożnie zacierałby swe ślady, lub jak dalece nieświadomi byłiby wszyscy, których wyprowadził swego czasu w pole, zawsze kiedyś napotkałby jakiś gest zdziwienia.

Może nikt nie zdradziłby jego sekretu, ale zainteresowani mogliby zacząć coś podejrzewać.

„Muszę zejść na ziemię”, powiedział do siebie Rex Daviot, „gdzież będzie mi lepiej niż w rządowej rezydencji w Lucknow”.

Inna sprawa była bardziej oczywista: najważniejsza była letnia rezydencja gubernatora w Naini Tal, pośród lesistych wzgórz u podnóża Himalajów.

Podobnie jak wszyscy żyjący i pracujący w Indiach, wierni poczuciu obowiązku nie znanemu nigdzie indziej w świecie, Rex Daviot rozwinął w sobie zmysł intuicyjnego postrzegania, trudny do zrozumienia dla tych, co zostali w kraju.

Nie chodziło tu tylko o jasnowidzenie: było to coś głębszego, jakiś rodzaj przeniknięcia do głębszej istoty

duchowego życia, które kryło się pod fantastyczną fasadą kolorowych Indii.

Ważnie tam, w Naini Tal, podczas wizyty u ostatniego gubernatora północno - zachodnich prowincji, stał spoglądając w górę na Himalaje, mając pod stopami kilkusetmetrową przepaść.

Nad spowitym w chmurach, ośnieżonym szczytem krążyły dwa złociste orły, zawieszony na tle przejrzystego nieba.

Nieskażone piękno tego widoku odcisnęło się na zawsze w sercu Daviota.

A teraz, nieoczekiwanie, jak wielokrotnie wcześniej, gdy musiał podejmować decyzje w trudnych chwilach życia lub zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, nagle zobaczył orły, wszechpotężne, spokojne, a jednocześnie będące jakby częścią jego osobowości.

Wiedział, że sir Terence czeka. Dotarł do rozstaju dróg, a kierunek, jaki obierze, zależy od słów, które zaraz wypowie.

Orły zawisły nieruchomo w oczekiwaniu!

Uśmiechnął się, jego twarz jakby pojaśniała, spędzając z czoła cień ostatniej zmarszczki.

- A teraz do rzeczy - powiedział głośno. - Czy zaprosi mnie pan na obiad?

Posiadłość sir Terence'a w St. John's Wood była przykładem domu zamieszkanego przez tych ludzi z towarzystwa, którzy byli zamożni, lecz nie przesadnie bogaci.

Kiedy Rex Daviot przybył, lokaj wziął od niego płaszcz i cylinder, dwie pokojówki w białych czepkach i nakrochmalonych fartuszkach pomagały podawać do stołu smaczny, choć nie wystawny obiad.

Sir Terence jednakże zaproponował swe najlepsze, jak Rex sądził, wina i miał rację, zwłaszcza po indyjskich doświadczeniach w tym względzie; tylko nieliczne wina mogły dobrze przetrwać w upalnym klimacie.

Wchodząc do salonu na pierwszym piętrze, gdzie oczekiwała już lady O'Kerry, pomyślał, że wygląda on jak typowy salon z książkowych ilustracji.

W czasie pobytu w Indiach wracał myślami do chłodnych, przestronnych salonów, w których cienkie w pasie, wydekoltowane damy bawiły gości z konwencjonalnym uśmiechem na swych kameralnych twarzach.

Staroświecka oprawa ich brylantów przeważnie wymagała czyszczenia. Poruszając się zostawiały za sobą delikatny zapach lawendy lub fiołków...

Ich wyciągnięte dłonie były białe i miękkie, skóra nie wysuszona nadmiarem słońca, twarze nie pomarszczone z braku wilgoci...

Sezonowe kwiaty sztywno stały ułożone zawsze w tych samych wazonach, w które wkładano je tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem...

Wiosną były to żonkile, latem - róże, dalie, chryzantemy i, jeśli gospodarzy stać było na utrzymanie domu poza miastem, goździki rosnące we własnych cieplarniach.

Latem na stole przy obiedzie pojawiały się wielkie soczyste brzoskwinie i ogromne purpurowe winogrona odmiany muszkatelowej z tych samych dobrze utrzymanych ogrodów.

Rex Daviot przyjął z rąk sir Terence'a szklaneczkę sherry. Lady O'Kerry spytała o zdrowie jego ojca i czy jest rad z powrotu do domu. Zainteresował ją też klimat w Indiach. Nagle drzwi otworzyły się i ukazała się w nich dziewczyna. Ją właśnie przyszedł poznać.

W drodze z Travellers' Club, gdzie się tymczasowo zatrzymał, do St. John's Wood Rex Daviot próbował wyobrazić sobie, jak też Quenella wygląda.

Był zdziwiony i rozbawiony lirycznym, a zarazem zagadkowym sposobem, w jaki jej stryj starał się ją opisać.

Rex Daviot zawsze uważał, że pomimo wizjonerskiej wyobraźni w kierowaniu pracami Urzędu do spraw Indii, sir Terence jest człowiekiem konwencjonalnym.

Z pewnością nie było nic niezwykłego ani szczególnie wyjątkowego w lady O'Kerry, ale ilekroć Rex widział obok siebie oboje małżonków zawsze sądził, iż wyglądają na szczęśliwą parę i że się ze sobą zgadzają.

Rex Daviot wiedział, że mają trzech synów - wszyscy przebywali w szkołach z internatem; lady O'Kerry zaś zwierzyła mu się kiedyś, że marzeniem jej jest mieć córkę.

- Biorąc pod uwagę sytuację na dziś, podejrzewam - dodała wtedy ze śmiechem - że będę musiała się zadowolić synowymi, ale czuję, iż to nie to samo, co mieć własną córkę.

Rex Daviot zastanawiał się, czy lady O'Kerry, podobnie jak jej mąż, uważa zachowanie Quenelli za niezrozumiałe, ale prawdopodobnie oboje małżonkowie dzielali te same odczucia.

Każda niezwykajna i niekonwencjonalna dziewczyna w rozumieniu lady O'Kerry nie jest tą, którą chciałaby mieć jako córkę.

Zdziwił go też sposób, w jaki sir Terence opisał wygląd Quenelli. Jeśli lady O'Kerry miała stanowić tu przykład, to obaj panowie różnili się bardzo w tym względzie.

Właściwie nigdy dotąd nie zastanawiał się, jaka ma być jego przyszła żona.

Wobec finansowych obciążeń wynikających z konieczności utrzymywania ojca w warunkach, do jakich był przyzwyczajony, małżeństwo wydawało mu się niezmiernie odległe.

Wiedział tylko, że nie chce, aby jego żona była typową mem - sahib. Taki typ białej kobiety dominował w Indiach.

Kłopot polegał mianowicie na tym, że kobiety nie miały tam żadnego zajęcia; było dużo służby, nie pozwalano im na

kontakty z Hindusami, mężowie byli ciągle poza domem na manewrach lub w podróżach.

Dzieci także nie mieszkaly razem z nimi. W gruncie rzeczy byly to znudzone, sfrustrowane kobiety, ktorych jedyną rozrywkę stanowiły plotki, intrygi oraz nie kończące się przyjęcia w Simli, gdzie przebywały podczas upałów. Zdarzały się też potajemne flirty z oficerem bratnią duszą, które często kończyły się tragicznie.

Rex Daviot dość często mawiał, że taką żonę miałby ochotę udusić po kilku miesiącach małżeństwa.

Obiektami jego przygód - a miał ich niemało - były zawsze „wielkie damy”, tak przynajmniej określono by je w tamtych czasach.

Od czasu otwarcia Kanału Sueskiego, gdy dostęp do Indii stał się łatwiejszy, życie towarzyskie wybuchło tam całą parą. Długa podróż z Londynu do Bombaju dookoła Przylądka Dobrej Nadziei, trwająca dotąd od czterech do pięciu miesięcy, skróciła się teraz do trzech tygodni, co zrewolucjonizowało w dużym stopniu brytyjski styl życia w Indiach.

Było w dobrym stylu wybrać się tam o właściwej porze roku, zatrzymać u wicekróla i wyruszyć w objazd po innych siedzibach.

Panie zwykle wracały obładowane indyjską biżuterią, kupowały sari i szkatułki wysadzone drogimi kamieniami, które jakby traciły nieco swego blasku i splendoru po powrocie do domu.

Kobiety, którym enigmatyczny i tajemniczy młody major Daviot wydał się niezwykle atrakcyjny, gdy przebywał na urlopie w Anglii, często wyruszały za nim do Indii. Pisały do niego pełne podziwu listy na ozdobnym papierze, informując go o swym przybyciu i na miesiąc wcześniej podając dokładne miejsce spotkania. Czasami to go bawiło i intrygowało,

czasami nudziło - w tym drugim przypadku dość łatwo przychodziło mu zniknąć.

Wicekról zwykł wtedy taktownie wyjaśniać, że major Daviot wykonuje poufną misję na północy i nie można się z nim kontaktować.

W niebezpiecznym i zapracowanym życiu Rexa Daviota takie przerywniki były jak znalezienie przy drodze egzotycznego kwiatu, nacieszenie się jego aromatem i pięknem nim zwiędnie i trzeba go będzie wyrzucić.

Chociaż przygody miłosne sprawiały, że budziły się w nim przedziwne pragnienia, nigdy nie mógł sobie wyobrazić, że ma żonę, która świeciłaby na firmamencie towarzyskim niczym gwiazda i która - gdyby go tam zabrakło - świeciłaby równie uwodzicielsko dla kogoś innego.

"Czego właściwie chcę?", zadawał sobie pytanie.

Jego ideał kobiety nie miał twarzy, więc Rex powtarzał w myślach, iż jest urodzonym kawalerem i powinien takim pozostać, jeśli ma choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Tymczasem nie tylko czekała na niego rządowa rezydencja w Lucknow, lecz także sir Terence błagał o pomoc; w uszach wciąż dźwięczał mu niemal błagalny ton jego głosu.

Zdawał sobie dobrze sprawę, że miał wobec sir Terence'a dług wdzięczności. Przez wszystkie lata popierał go, zachęcał i walczył o jego dobro.

Ilekroć Rex Daviot prosił o pozwolenie na wykonanie pewnych czynności, które były dość niecodzienne, a ryzyko z nimi związane było zbyt wielkie dla władz w Indiach, zawsze żądał przekazania sprawy sir Terence'owi.

Ani razu nie zdarzyło się, by odpowiedział odmownie, a to dawało Rexowi wolną rękę w przeobrażaniu niemożliwego w możliwe.

Małżeństwo!

Rex Daviot poruszył się niespokojnie w powolnej dorożce, która wiozła go do St. John's Wood.

Co, u licha, będzie robił z pętającą się wszędzie żoną. Będzie wymagała, by poświęcał jej uwagę, czas i, na dodatek, skoro jest bogata, będzie żądała wdzięczności!

„To niemożliwe! Będę musiał znaleźć jakieś inne rozwiązanie”, powiedział do siebie.

Logicznie rozumując wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia niż to, które już zaproponował sir Terence.

Teraz, kiedy Quenella weszła do pokoju, przez moment z trudem przyszło mu spojrzeć na nią wprost.

Zdawał sobie sprawę, że ona tam jest i posuwa się wolno w stronę stryja z gracją, którą bardziej wyczuwał niż widział.

Usłyszał, jak sir Terence mówi: - Quenello, chcę ci przedstawić majora Rexa Daviota! - wtedy spojrział wprost na nią.

Ku swemu zdumieniu zobaczył, że jest niewątpliwie jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział, i całkiem inna, niż tego oczekiwał lub nawet sobie wyobrażał!

Rozdział 2

Kiedy Rex Daviot wpatrywał się ze zdumieniem w Quenellę, dziewczyna pochyliła głowę i bez słowa podeszła do kominka.

Było jasne, że nie ma ochoty z nim rozmawiać, on zaś nad fałdami jej wieczorowej sukni dostrzegł cienką kibić i elegancję, która zaskakiwała u kogoś tak młodego.

Podczas obiadu siedziała przy stole naprzeciw niego, miał więc czas, by przyjrzeć jej się uważniej bez obawy, że będzie to zbyt natarczywe.

Przypuszczał, że za sprawą rosyjskiej krwi jej oczy były ciemne i tajemnicze.

Były lekko skośne w kącikach; nadawało to jej twarzy wygląd Sfinksa i było bardzo zalotne, w przeciwieństwie do pełnego rezerwy zachowania, które - był tego pewien - miało oznaczać obojętność.

Rozumiał, co sir Terence miał na myśli mówiąc, że Quenella zamknęła się we własnym świecie.

Ze sposobu, w jaki się wypowiadała, choć była uprzedzająco grzeczna i uprzejma, wiedział, że to fasada, za którą kryły się całkiem odmienne uczucia.

Praca w Indiach uczyniła go niezwykle spostrzegawczym.

Dzięki licznym przebraniom, w których od czasu do czasu występował, nauczył się nie tyle odgrywać rolę - jak to czynili aktorzy - ale docierać w głąb świadomości człowieka, którego w danej chwili prezentował, i faktycznie nim się stać.

To go nauczyło odwoływać się do intuicji przy ocenianiu ludzi i, jak sam to określał, „przy odkrywaniu tego, co w nich siedzi”.

Fascynowało go, że wie, jaki jest podtekst wszystkiego, co mówi Quenella, że kryje się tam inna myśl. Jeśliby miała odwagę mówić co myśli, usłyszeliby słowa bardzo odmienne od tych, które wychodziły z jej ust.

Niezależnie od tego, jak dalece sięgała jego spostrzegawczość, Quenella stanowiła zagadkę, której rozwiązanie byłoby niezmiernie interesujące.

Podczas posiłku rozmawiali o całkiem zwykłych sprawach; lady O'Kerry opowiadała ploteczki o ludziach z kręgów dworu i o znajomych z Indii.

Była bliską przyjaciółką lady Curzon, żony wicekróla. Zapytała Rexa, czy w drodze powrotnej nie zabrałby dla niej kilku książek w prezencie.

Obiecał uczynić wszystko, o co tylko będzie poproszony. Jednocześnie nie mógł odmówić sobie, by nie dodać, zerknąwszy na sir Terence'a:

- Jest bardzo wątpliwe, bym tam prędko wrócił.
- Jestem pewna - odparła lady O'Kerry - że tylko pan się tak droczy. Mój mąż zawsze mówił, że Indie nie mogą się bez pana obejść.

- Sir Terence mi pochlebia - odrzekł sucho Rex Daviot - ale przyznaję, że wszystkie moje zainteresowania koncentrują się na tym zaskakującym kraju, który coraz bardziej mnie fascynuje.

Quenella spojrzała na niego, jakby chciała o coś zapytać, ale ostatecznie zmieniła zamiar.

Posiłek ciągnął się w nieskończoność, toteż Rex Daviot doznał ulgi widząc, że panie się zbierają.

Otworzył im drzwi, a kiedy go lady O'Kerry mijała, uderzywszy lekko wachlarzem w ramię, powiedziała:

- Nie każcie nam za długo na siebie czekać. Terence'owi szkodzi duża ilość porto; obie z Quenellą będziemy w salonie.

Nie czekając na odpowiedź, oddaliła się. Quenella minęła Rexa Daviota nawet nań nie spojrzawszy.

Owionął go zapach, którego aromatu nie potrafiłby nazwać.

Znał większość perfum używanych często w nadmiarze przez damy z towarzystwa. Ten zapach był delikatny, a mimo to zdawał się nadal unosić w powietrzu, gdy wrócił do stołu.

Gdy obaj usiedli, sir Terence spojrzał na Rexa.

- No i co powiesz? - zapytał.

Nie mógł wyrazić swego pytania w sposób bardziej elokwentny.

- Jest bardzo piękna - cicho odparł Daviot.

- Tak piękna - przyznał sir Terence - że nie musi być aż tak bogata.

Łyknął trochę porto i znów zaczął mówić:

- Po naszej rannej rozmowie dość szczegółowo przeanalizowałem jej stan posiadania. W istocie jest to astronomiczna suma i, w związku ze zwiększonym popytem na ropę, prawdopodobnie się powiększy w ciągu następnych paru lat.

Przerwał na chwilę, po czym kontynuował:

- Jej majątek został również zainwestowany w mnóstwo innych przedsięwzięć, których wartość niemal na pewno będzie wzrastać.

Rex Daviot nie odpowiadał. Widząc jego zaciśnięte szczęki i twarde zarys ust sir Terence zrozumiał, że dla tego mężczyzny nienawistna jest myśl o zobowiązaniach finansowych wobec jakiegokolwiek kobiety, a tym bardziej własnej żony.

Był w pełni świadom, iż wobec prawa to on będzie sprawował kontrolę nad majątkiem swojej żony i że po ślubie przejdzie on na jego własność. Rex był dumnym człowiekiem, wiedział więc, że zawsze będzie się czuł upokorzony, wydając pieniądze żony zamiast własnych.

- Zapomnij o wszystkim - rzekł sir Terence ciągle czytając jego myśli. - Miej świadomość, że wydajesz pieniądze Quenelli nie dla siebie, lecz dla dobra Indii.

- Czy mam to traktować poważnie? - spytał Daviot.

- Nie znam nikogo innego - odparł sir Terence - kto byłby w tym momencie ważniejszy dla utrzymania pokoju w tamtym kraju, który obaj kochamy.

W pokoju zaległa cisza i Rex Daviot wiedział, że za chwilę usłyszy poufną informację o dużym znaczeniu.

- Nie ma potrzeby, bym ci mówił - zaczął sir Terence - że to, co mam ci do przekazania, zostało mi wyjawione w największym sekrecie; muszę cię jakoś przekonać, jak bardzo nam jesteś niezbędny.

- Zamieniam się w słuch.

- Kiedy lord Curzon przybył do Indii jako wicekról w 1899 roku, został zaalarmowany pogłoskami o rosyjskiej obecności w Tybecie.

Rex Daviot był świadom, że pozycja Wielkiej Brytanii w Indiach wydawała się zagrożona ekspansją Rosji w głąb Azji Środkowej.

Podczas gdy Rosja rozszerzyła swe panowanie aż po Afganistan, Wielka Brytania przesuwiała granice Indii dalej na zachód i północny zachód.

Daleko na północ wysunięty Tybet, niegdyś zdominowany przez Chiny, był w roku 1900 niezależnym państwem, wrogiem wobec obcych. Był to zimny, niegościnnie kraj, rządzony przez Dalaj Lamę i buddyjskich mnichów.

- Lord Curzon przypuszcza - ciągnął sir Terence cichym głosem, jakby obawiając się podsłuchu nawet we własnej jadalni, że pomiędzy Rosją a Chinami istnieje tajne porozumienie, dające tej pierwszej specjalne prawa w Tybecie.

- Słyszałem o tych sugestiach - odparł Rex Daviot - ale zawsze powątpiewałem w ich wiarygodność.

- Uważa się - kontynuował sir Terence - iż Rosja wysłała broń do Tybetu i lord Curzon obawia się, że może dojść do

zamieszek podsycanych przez Rosję na granicy indyjsko - tybetańskiej.

Rex Daviot słuchał z uwagą.

Zdawał sobie dobrze sprawę, że tak mogło być. Rosja ciągle przyczyniała się do wywoływania licznych walk wokół Khyber Pass, wznecając właśnie narodowościowe i w konsekwencji powodując śmierć wielu żołnierzy.

Jego raporty - wysłane tuż przed wyjazdem z Indii, które dotarły przed nim pocztą dyplomatyczną - ostrzegały władze, iż groziły dalsze konflikty i należy przedsięwziąć jakieś działania.

- Wicekról życzy sobie z tobą omówić - kontynuował sir Terence - twoją pierwotną koncepcję umieszczenia brytyjskiego agenta w Gyantse.

Był to posterunek znajdujący się w pół drogi między Lhasą, stolicą Tybetu, a indyjską granicą niedaleko Darjeeling.

- Zawsze uważałem to za dobry pomysł - wtrącił Rex Daviot - lecz mogą być trudności z przekonaniem Tybetańczyków o niezbędności takich działań.

- Dlatego właśnie lord Curzon oczekuje cię z ogromną niecierpliwością, chce bowiem zasięgnąć twojej opinii, kogo posłać na negocjacje.

- Wydaje mi się, że już wcześniej mówiłem - stwierdził Daviot - że idealnie nadawałby się pułkownik Francis Younghusband.

- Jestem pewien, że uda ci się przekonać o tym wicekróla - odparł sir Terence.

- Miałem raczej zamiar zaproponować siebie - rzekł Rex Daviot z wesołymi iskierkami w oczach.

- Wyobrażałem sobie, że będzie ci to chodzić po głowie - uśmiechnął się sir Terence. - Cztery lata temu może bym się na to zgodził, ale jesteś zbyt cenny, byś się miał marnować na

tym odludnym choć ważnym posterunku. Obaj dobrze wiemy, że gdy ma się do czynienia z ludźmi Wschodu, mogą upłynąć całe lata, nim się osiągnie postęp w negocjacjach.

Rex Daviot wiedział, że to szczerą prawdą; Tybetańczycy w istocie byli niedościgłymi mistrzami w stosowaniu niedomówień i unikaniu jasnych odpowiedzi na każde, choćby najbardziej konkretne pytanie.

- Moim zdaniem - ciągnął sir Terence - jedynym sposobem, by coś osiągnąć, jest bardziej bezpośrednie działanie.

- Czy pan sugeruje, że Younghusband powinien wkroczyć do Tybetu w kierunku na Gyantse w eskorcie wojska? - cicho spytał Rex Daviot.

- Sądziłem, że ty sam czyniłeś aluzje do tego w swym ostatnim raporcie.

- Tak było - przyznał Rex Daviot. - Jednocześnie należy najpierw podjąć próbę pokojowych rokowań.

- Całkowicie się zgadzam - powiedział sir Terence - i jednym z twoich zadań będzie przekonać popędliwych dowódców wojskowych, że nie wolno im wkroczyć do Tybetu, dopóki nie będziemy do tego gotowi.

Rex Daviot nic nie odpowiedział, toteż sir Terence zniecierpliwiony walnął pięścią w stół.

- Do diabła z tym wszystkim, Rex! Dlaczego się wahasz? Nie jesteś lepszy od Tybetańczyków. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma nikogo innego w całych Indiach, kto równałby się z tobą wiedzą na temat sytuacji na północy.

- Dobrze więc, przyznaję, że tak jest - wycedził z trudem Rex.

- I tak być powinno! - uciął sir Terence. - Bóg jeden wie, że wystarczająco często narażałeś życie, by zdobyć informacje, na których nam tak rozpaczliwie zależało.

Przerwał, po czym dodał nieco spokojniej:

- Trudno mi sobie wyobrazić, jak udało ci się przeżyć ten ostatni wypad!

Rex Daviot uśmiechnął się sarkastycznie, lecz choć Terence czekał, nie powiedział nic więcej.

- Słusznie! - Chwilę później starszy mężczyzna odezwał się z aprobatą. - Nie zdradzaj własnych sekretów. Na pograniczu jedno nieopatrzone słowo może spowodować śmierć!

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, i sir Terence podniósł się z miejsca.

- Przyłączmy się do dam - powiedział. - Kiedy moja żona powie nam „dobranoc”, chciałbym pomówić jednocześnie z tobą i Quenellą.

Rex spojrział ze zdumieniem, ale sir Terence, nie czekając na odpowiedź, był już na połowie drogi poza jadalnią. Rexowi nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

Gdy pojawili się w salonie, lady O'Kerry powitała ich entuzjastycznie, Quenella zaś wstała i podeszła do fortepianu.

Rex Daviot był pewien, że to wybieg pozwalający na odosobnienie; początkowo grała bardzo cicho, jakby muzyką chciała wtórować ploteczkom lady O'Kerry.

Następnie jej palce zaczęły się ślizgać po klawiszach, wygrywając smutną rosyjską melodię.

Była to, jak sądził, pieśń śpiewana w Rosji przez chłopów pańszczyźnianych, ciemionych przez okrutnych dziedziców; ci prości ludzie umieli w pieśni wyrazić swoje cierpienie.

Była to dziwna, powracająca melodia, która mówiła o różnych sekretnych sprawach, przemawiała nie tylko do rozumu, ale przede wszystkim do serca.

Co Quenella czuła grając tę melodię? Grała dobrze, niemal profesjonalnie. Był ciekaw, czy jest to uczniowskie popisywanie się wyuczonym materiałem, czy coś, co oddaje jej wewnętrzną naturę.

Lady O'Kerry, ze świadomością dobrze przeciwiczonej roli, zaczęła się zbierać do odejścia.

- Musi mi pan wybaczyć, majorze Daviot, że się oddalę wcześniej. Przez cały dzień nie czułam się najlepiej. Proszę nie śpieszyć się do wyjścia. Wiem jak bardzo mój mąż ceni sobie pańskie towarzystwo. O wiele za rzadko mamy przyjemność przyjmowania pana.

- Bardzo to uprzejme z pani strony - wymamrotał Rex.

- Proszę koniecznie przyjść się pożegnać przed pańskim powrotem do Indii - dodała lady O'Kerry odchodząc.

Quenella podniosła się ze stołka od pianina i już miała podążyć za nią, lecz sir Terence powstrzymał ją ruchem ręki.

- Chcę z tobą porozmawiać, Quenello.

Bez słowa podeszła do stryja i usiadła na sofie na wskazanym miejscu. Obok na krześle siedział już Rex Daviot.

Siedzieli tak w oczekiwaniu, aż sir Terence, stojąc plecami do kominka, zacznie mówić:

- Mam do powiedzenia coś ważnego, co dotyczy was obojga.

Quenella i Rex nadal czekali. Po chwili wahania sir Terence, zwracając się do Rexa, rzekł:

- Po twoim wyjściu z Urzędu dzisiejszego ranka, otrzymałem list, którego wagę, jak sędzę, docenicie oboje.

- Od kogo, stryju Terence? - z nutką strachu spytała Quenella.

- Od niemieckiego ambasadora - odparł sir Terence. Obserwując ją Rex Daviot myślał, że wygląda jeszcze bardziej blado niż podczas obiadu.

Cera Quenelli miała coś z magnolii, a jej wyraziste oczy wskazywały na nie całkiem angielski rodowód.

Włosy miała nie ciemne, i nie jasne, delikatnie przebłyskiwały w nich miedziane refleksy, lśniące w świetle gazowych lamp.

To właśnie włosy i oczy wyróżniały ją od innych kobiet, czyniąc z niej niezaprzeczalną piękność.

- Dziwna uroda - uznał w duchu Rex Daviot i zdał sobie sprawę, że z powodu jej rezerwy i „zamknięcia się w sobie”, nie pociąga go tak, jakby należało oczekiwać po tak pięknej kobiecie.

Podziwiał ją jak podziwia się rzeźbę albo obraz stworzony ręką mistrza, lecz nie czuł do niej żadnego pociągu.

W istocie mógłby ją uznać za wykutą z kamienia, jeśli pominąć pierwsze wrażenie.

- Otrzymałem list od ambasadora - ciągnął sir Terence - zapytaniem, czy ty, Quenello, zechciałabyś zatrzymać się u niego i jego żony, baronowej von Mildenstadt w ich letnim domu w Hampshire podczas balu w przyszłym tygodniu.

Quenella zeszywniała.

- Ja słyszałam o tym balu - powiedziała szybko. - Honorowym gościem ma być... Książę Ferdynand.

- Ambasador wyraził się jasno - odparł sir Terence. - W bardzo kwiecistym stylu, choć bez wątpienia pełnym pogróżek, napisał również, że twoja obecność jest obowiązkowa.

- Pełnym pogróżek? - ostro zapytał Rex Daviot.

- Zostało to pomyślane w bardzo prosty sposób. Dołączono drugi list w kopercie, z żądaniem formalnego widzenia się z sekretarzem stanu spraw zagranicznych, markizem Salisbury.

Sir Terence przerwał wymownie, by po chwili dodać:

- Mam tam też być obecny, a proponowana data to dzień przed planowaną podróżą Quenelli do Hampshire!

- Nie pojedę! - z przekonaniem odrzekła Quenella.

- Jeśli tego nie zrobisz - odpowiedział sir Terence - jeśli odmówimy, co oczywiście zamierzamy uczynić, ambasador jasno dał do zrozumienia, że poskarży się markizowi na moje

zachowanie wobec Jego Książęcej Mości. Jak sobie oboje zdajecie sprawę, w następstwie tego powinienem złożyć premierowi swoją rezygnację.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałby to zrobić? - zapytała Quenella.

- Moja droga, w dyplomacji nie ma potrzeby składania logicznych wyjaśnień, kiedy więc dochodzi do konfliktu między członkiem rodziny królewskiej a zwykłym urzędnikiem państwowym, daje się wiarę temu pierwszemu.

- To wszystko jest nie do pojęcia! - wykrzyknął Rex Daviot. - Widzę całkiem wyraźnie, że książę zamierza wyrzucić swą germańską presję na pańską bratanicę, by zmusić ją do zrobienia tego, czego on sobie życzy.

- Nie zostanę jego... kochanką! - cichutko powiedziała Quenella.

- Decyzja należy wyłącznie do ciebie, moja droga - odparł sir Terence.

- Ale... czy on naprawdę... może cię skrzywdzić, stryju Terence?

- Obawiam się, że tak - odrzekł Terence. - Muszę przyznać, że nie przebierałem w słowach, kiedy dowiedziałem się, jak cię książę potraktował. Byliśmy bez świadków, ale z pewnością nigdy mi nie wybaczy tych kilku słów prawdy.

- Ma szczęście, że go pan nie znokautował - odezwał się Rex Daviot.

- Wtedy naprawdę wybuchłby skandal! - odparł Terence. - Chętnie bym to zrobił, ale obaj wiemy dobrze, jak wyglądałby rewanz.

- Mam wrażenie, iż właśnie to teraz czyni - sucho odrzekł Rex Daviot.

- Niezupełnie - stwierdził sir Terence. - Jego Książęca Wysokość usiłuje postawić Quenellę w takim położeniu, by musiała wysłuchać, co ma jej do powiedzenia. Wyobrażam

sobie, że ma zamiar ją przeprosić, a następnie od nowa zacząć uwodzić.

- Nie będę go wysłuchiwać! - zdecydowanie rzekła Quenella.

- Jeśli zatrzymasz się w Hampshire u baronowej von Mildenstadt w roli opiekunki, nie będziesz miała wielkiego wyboru.

Quenella zaczerpnęła powietrza.

- A jeśli odmówię, to naprawdę uważasz, stryju, że on podejmie kroki, by zniszczyć twoją karierę?

- Z pewnością będzie próbował - przyznał sir Terence. - Może mu się to nie udać, lecz wyrządzi z pewnością szkodę mojej pracy, która jest dla mnie o wiele ważniejsza niż reputacja.

- Przed chwilą mówił pan, jak wiele znaczą dla Indii - wtrącił Rex Daviot - lecz nie będzie czczym komplementem stwierdzenie, że znaczenie pańskiej osoby dla imperium brytyjskiego i całej Europy jest stokroć ważniejsze.

Obaj panowie wymienili spojrzenia, zdając sobie sprawę, iż myślą o tym samym: Wielka Brytania jest zagrożona przez rosnącą potęgę niemieckiego imperium.

Uważając, że wystarczająco dużo już powiedział, sir Terence chciał zakończyć temat:

- Przedstawiłem wam obojgu całą sytuację. Teraz zamierzam się oddalić, aby dać wam czas na przedyskutowanie całej tej nieprzyjemnej sytuacji. Chciałbym dodać, że przyjmę bez protestu cokolwiek postanowicie. Macie przed sobą długie życie, moje już ma się ku końcowi.

Sir Terence opuścił pokój bez słowa, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Quenella podniosła się z krzesła.

- To nie do zniesienia! Absolutnie nie do zniesienia, żeby jakkolwiek mężczyzna, choćby sam książę, zachowywał się w tak nikczemny sposób!

Mówiąc to spoglądała w dół na ogień w kominku, a płomienie oświetlały prawie klasyczną doskonałość jej prostego noska i pełnych warg.

Obserwując ją uświadomił sobie nagle, że te usta nie mogą należeć do zimnej ani obojętnej kobiety.

Było w nich coś ciepłego i zmysłowego, toteż zastanowił się, czy jej lodowata powściągliwość nie skrywa natury, która stanowi dokładne tego przeciwieństwo.

Na głos zaś powiedział:

- Całym sercem zgadzam się z panią, mogę tylko dodać, że byłoby niepowetowaną stratą dla Wielkiej Brytanii, gdyby właśnie w tym szczególnym momencie pani stryj musiał opuścić Urząd.

- Stryj Terence powiedział mi - po chwili odezwała się Quenella - że jedynym sposobem, w jaki mogłabym... wydobyć siebie i jego z tego... zamieszania, byłoby... zamążpójście.

- Pani stryj ma rację - zgodził się Rex Daviot. - Gdyby ogłoszono pani zaręczyny, w tym przypadku z niewątpliwym błogosławieństwem królowej, byłby to oczywisty pretekst, by odrzucić zaproszenie ambasadora i w pewnych okolicznościach, również by natychmiast opuścić Anglię.

Oboje wiedzieli, że miał na myśli swoje małżeństwo z Quenellą, lecz dziewczyna dalej wpatrywała się w ogień. Ponownie zapadła kłopotliwa cisza. W końcu Quenella przemogła się:

- Stryj Terence mówi, że pan... też ma... kłopot.

- Mój kłopot jest o wiele mniejszy - odparł Rex Daviot. - Mam otrzymać stanowisko gubernatora północno - zachodnich prowincji, ale nie stać mnie, aby je przyjąć.

Zorientował się, że to wyjaśnienie zabrzmiało dość sucho, wyjaśnił więc:

- Mówiąc prawdę, już mam długi związane z chorobą ojca. Powinienem tę propozycję odrzucić i wracać do Indii dalej pełnić swoją służbę.

- Stryj mówił, że to niezwykle ważne, aby właśnie pan został gubernatorem.

- To nie jedyny sposób, w jaki mogę służyć mojemu krajowi - rzekł Rex Daviot - ale przyznaję, że ułatwiłoby mi to znacznie kontynuowanie pracy, którą prowadzę od kilku lat. Jeśli mam być szczery, nie miałem najmniejszego zamiaru żenić się, a już z pewnością nie z kimś, kogo nie znałem aż do dzisiejszego wieczoru.

Quenella nie odpowiedziała, więc kontynuował:

- To może zabrzmieć zbyt obcesowo, ale musimy rozmawiać ze sobą szczerze. Sądzę, że to jedyne wyjście, jakie nam pozostało.

- Oczywiście - przyznała Quenella - i niech mi będzie wolno powiedzieć, że ja też nie miałam zamiaru wychodzić za mąż. Nienawidzę mężczyzn! Wzbudzają we mnie wstręt! To po prostu zwierzęta!

Mówiła w sposób, który tym bardziej przykuwał uwagę, im bardziej nie podnosiła głosu. Słowa wydobywały się z jej ust z ledwo hamowaną gwałtownością, która zaskoczyła Rexa Daviota, mimo że spodziewał się takiej reakcji.

- Rozumiem - odezwał się. - Ale jaką ma pani alternatywę?

Quenella westchnęła.

- Nie wiem - odparła. - Przypuszczam, że mogłabym... pójść do klasztoru. Tam przynajmniej nie dosięgnęłaby mnie ręka księcia.

- Jeśli nie ma pani prawdziwego powołania, nie wyobrażam sobie życia, które nakładałoby większe ograniczenia i bariery.

- Tak pan sądzi? - zapytała wojowniczo.

- Sir Terence powiedział mi, że jest pani inteligentna. Widzę też, że jest pani wrażliwa i chłonna. Podejrzewam ponadto, że ma pani żywą wyobraźnię.

Rzuciła na Rexa obojętne spojrzenie, jakby nie życzyła sobie, by zajmował się jej odczuciami, po czym rzekła niechętnie:

- Cóż, muszę przyznać, że wyraził pan dokładnie to, co sama o sobie myślałam.

- Ważne jest, byśmy myśleli nie o sobie, lecz o pani stryju - stwierdził Rex Daviot. - Powód, dla którego tu przyszedłem dziś wieczór, jest taki, że się o niego niepokoję.

- On jest... taki dla mnie dobry - powiedziała Quenella. - Lubię z nim rozmawiać i przebywać z nim. Dlaczego to musiało się zdarzyć? Dlaczego właśnie mnie?

To pytanie, pomyślał rozbawiony, zadają sobie od wieków mężczyźni i kobiety, kiedy stają w obliczu problemów natury osobistej.

"Dlaczego to musiało spotkać właśnie mnie?"

Jest to zawołanie tych, którzy muszą stawić czoło nieodwołalnemu, kiedy wiedzą, że nic nie mogą na to poradzić.

Pomyślał, że byłoby nietaktem powiedzieć w tym momencie Quenelli, iż jej uroda będzie zawsze stanowiła pokusę dla mężczyzn i utrzymanie na wodzy ich żądz będzie stanowiło dla niej wielką trudność.

Oczywiście, nieszczęśliwie się złożyło, że miała taki właśnie wpływ na to niemieckie książątko.

Zamiast tego powiedział na głos:

- Przypuszczam, iż oboje musimy przyznać, że mamy tylko dwa wyjścia: albo uratujemy pani stryja, albo siebie jego kosztem.

To ultimatum odbiło się po pokoju echem.

Ujrzał jak Quenella wolno podnosi głowę i po raz pierwszy odwraca się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Co pan zamierza uczynić, majorze Daviot? - spytała.

Było to bardziej wyzwanie niż pytanie, i Rex Daviot bez wahania odparł:

- Uważam karierę pani stryja za o wiele ważniejszą niż moja własna. Poświęcił on swe życie, tak jak ja, Wielkiej Brytanii. Proszę cię, pani, byś została moją żoną!

Zauważył, że jej tajemnicze oczy przenikają jego twarz, jakby usiłowały zajrzeć pod powierzchnię i upewnić się, że nie znajdą tam żadnych ukrytych i bardziej osobistych motywów.

Zanim zdołała się odezwać, on mówił dalej:

- Jak oboje wiemy, będzie to małżeństwo z rozsądku i mogę zapewnić, że będę panią traktować z szacunkiem należnym kobiecie noszącej moje nazwisko. Jednocześnie nie będę domagał się respektowania moich praw mężowskich ani żądał od pani żadnych łask, do których świadczenia nie jest pani gotowa.

Oboje wiedzieli, że właśnie tego Quenella bała się najbardziej; dostrzegł delikatny rumieniec na jej policzkach. Sprawił on, że - jeśli to w ogóle możliwe - wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem. Nabrała cech bardziej delikatnych, stała się mniej posągowa. Rex Daviot czekał, co Quenella odpowie:

- Jeśli taka jest pańska obietnica... jeśli przysięgnie pan, że nasze małżeństwo będzie wyłącznie kontraktowe, jako środek do osiągnięcia celu, wówczas jestem gotowa pana poślubić!

Rex Daviot wstał.

- Dziękuję - powiedział - a teraz, skoro już zdecydowaliśmy się, proponuję, byśmy udali się do pani stryja i zaczęli robić plany.

Nie czekając na zgodę Quenelli, przeszedł przez pokój, by poszukać sir Terence'a.

Oczekiwał ich w małym gabinecie na parterze. Jego twarz wyrażała zaniepokojenie.

Podniósł się z wolna, gdy Rex się odezwał:

- Proponuję, by wrócił pan do salonu, sir Terence. Musimy wiele ustalić, a potrzebne nam pańska pomoc i rada.

Sir Terence wyciągnął do niego rękę.

- Dziękuję ci, Rex - rzekł - i choć może mi w tej chwili nie uwierzysz, moja irlandzka zdolność przewidywania przyszłości mówi mi, że nigdy nie będziesz tego dnia żałował.

- Mam taką nadzieję - odparł Rex Daviot. - Uczynię, co w mej mocy, by Quenella czuła się szczęśliwa.

Nie mógł ukryć delikatnego sarkazmu, jaki zabrzmiał w jego głosie. Szybkie spojrzenie, jakim obrzucił go Terence, uświadomiło mu, iż starszy mężczyzna rozumie stan jego uczuć.

W ciszy weszli po schodach do salonu.

Sir Terence objął ramieniem bratanicę i złożył pocałunek na jej czole.

Nie odwzajemniła mu pocałunku, zaś sposób, w jaki przyjęła ten gest wyraźnie wskazywał, że nawet stryja traktuje jak mężczyznę.

W drodze powrotnej do Travellers' Club Rex zamyślił się nad tym, iż nigdy przedtem, po tylu latach obcowania z dziwnymi sytuacjami, nie znalazł się w okolicznościach, które byłyby równie niezwykle.

Nawet nie powstało mu w głowie po powrocie do Anglii, że znajdzie się w obliczu takiego splotu zdarzeń i w ciągu

pierwszych dwudziestu czterech godzin będzie musiał podjąć decyzję, która zaważy na całym jego życiu.

Zdawało się niedorzeczne, że wkroczy w życie małżeńskie z kobietą, która w sposób oczywisty nie zносиła go i wymusiła na nim obietnicę, iż będzie jego żoną tylko z nazwiska.

Jednakże Quenella niewątpliwie uświetni jego pozycję i tytuł, do przyjęcia których się zobowiązał.

Nagle, przytłoczony nawałem zdarzeń, zapragnął być z powrotem w Indiach.

O ileż bardziej wolałby teraz znaleźć się w przebraniu fakira pośród nieprzyjaciół, wiedząc, że jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy choćby najmniejsze podejrzenie, że nie jest tym, za kogo się podaje, jego krew wsiąknie w ziemię.

Choć był za pan brat z różnymi niebezpiecznymi sytuacjami, nie przyszło mu do głowy, gdy przekraczał próg Urzędu do spraw Indii, iż zaczyna się jego kolejna przygoda. Ponieważ była tak osobista, był pewien, że będzie go kosztować więcej trosk i zmartwień niż wszystko do tej pory.

- Po cóż mi żona? - zapytywał się bezlitośnie. - I to taka żona!

Widział odrazę w oczach Quenelli, gdy sir Thomas mówił o ślubie, i dziękował im obojgu za to, że się o niego troszczą.

- Nie muszę wam mówić - rzekł sir Terence - co to dla mnie znaczy. Mogę tylko potwierdzić, że znam was oboje od długiego czasu i wiem, że jesteście indywidualistami. Oboje macie silne charaktery i każde z was jest na swój sposób niepowtarzalne!

Zaśmiał się krótko, po czym dodał:

- To ślepy los zdecydował, iż macie przed sobą wspólne życie!

„Jeśli to prawda” pomyślał z goryczą Rex Daviot „to los źle dobrał składniki tego związku”.

Żegnając się z Quenellą zorientował się, że tylko największym wysiłkiem woli oparła się impulsowi, by powiedzieć mu, iż zmieniła zdanie.

Chciała na pewno wykrzyknąć, że nie weźmie udziału w tej ponurej farsie i że odegranie roli żony będzie dla niej oznaczać przejście przez czyścicowe męki.

Rex Daviot odniósł też wrażenie, że w jej antypatii kryje się coś bardziej osobistego.

Starał się jednak wmówić sobie, że to tylko wyobraźnia, a jej zachowanie to reakcja na trudną decyzję, którą właśnie zmuszona była podjąć.

Mieli wiele spraw do omówienia, gdy sir Terence przyłączył się do nich w salonie.

- Może odnosicie wrażenie, że jestem zbyt przewrażliwiony, ale nie mam za grosz zaufania do księcia.

Kiedy mężczyzna tak zepsuty i gwałtowny traci obiekt swojej miłości, nic absolutnie go nie powstrzyma.

- Czy naprawdę można to nazwać... miłością? - spytała pogardliwie Quenella.

- Nazwij to, jak chcesz - odparł sir Terence - ale gdy chodzi o ciebie, księżę stracił panowanie. Doprowadziłaś go do takiego szaleństwa, że przestał zważać na konsekwencje. Taka determinacja jest groźna.

Rex Daviot wiedział, że sir Terence nie mówi tego bez powodu.

- Co pan zatem sugeruje?

- Uważam, że im szybciej się pobierzecie i opuścicie ten kraj, tym lepiej - odrzekł sir Terence. - Może odnosicie wrażenie, że zachowuję się teatralnie i zbyt dramatyzuję, ale chodzi mi bardziej o Quenellę niż o siebie. Musi zejść księciu z oczu.

- Zgadzam się z panem - powiedział Rex Daviot - a ponieważ chcę wkrótce wracać do Indii, proponuję, żeby pan

poprosił o audiencję u królowej jak tylko się da najszybciej. Na drugi dzień wzięlibyśmy ślub za jej specjalnym pozwoleniem.

Urwał, a po chwili dodał trochę niepewnie:

- Wydaje mi się, że w przypadku specjalnego pozwolenia, należy dać na zapowiedzi z dobowym wyprzedzeniem.

Mówiąc to pomyślał, jak niedorzecznie i sztucznie brzmią słowa, że ma wziąć ślub za specjalnym pozwoleniem z kobietą, którą ujrzał po raz pierwszy dzisiaj wieczoru.

- Powiadomię królową i każdego, kto zechce tego wysłuchać - rzekł sir Terence - że oboje z Quenellą doszliśmy do porozumienia, kiedy jeszcze przebywałeś w Indiach.

Uśmiechnął się sceptycznie i dokończył:

- Wtedy Jej Wysokość, której szczególne upodobania do kojarzenia małżeństw są znane, usunie wszelkie trudności i spędzicie miodowy miesiąc w rządowej rezydencji w Lucknow.

- To brzmi dość przekonująco - stwierdził Rex.

- Muszę powiadomić o tym księcia za pośrednictwem niemieckiego ambasadora - odparł sir Terence - i sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do biura ambasady bezpośrednio po twoim wyjściu i przekażę baronowi von Mildenstadt dobre wieści.

Rex zawahał się przez chwilę.

- Czy nie sądzi pan, że byłoby rozsądniej poczekać, aż się pobierzemy?

Sir Terence milczał, a potem się zgodził.

- Być może masz rację. Ten diabeł nawet w ostatniej chwili mógłby wymyślić jakiś podstęp, żeby prześladować Quenellę, albo zrobić tobie jakąś krzywdę! Nie dam mu tej szansy!

- Niech więc nasz ślub będzie tajemnicą do chwili, kiedy znajdziemy się na otwartym morzu - rzekł Rex.

Ciągle myślał, że cała ta sprawa jest stekiem absurdów.

Czy to jest możliwe, by władca małego niemieckiego księstwa zagrażał im do tego stopnia, żeby byli zmuszeni uciekać z własnego kraju?

Zbyt długo jednak obcował z niebezpieczeństwem, żeby nie wiedzieć, iż głupotą jest lekceważenie wrogów.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że sir Terence, którego darzył ogromnym szacunkiem, posiada taką znajomość natury ludzkiej i jeszcze większą znajomość układów, w jakie ludzie są wplątani, iż nie mówiłby o niebezpieczeństwie, gdyby nie było ono aż nadto realne.

- Oto co musicie zrobić - rzekł teraz.

- Jeśli, oczywiście, zgodzi się na to Quenella - odparł Rex.

Celowo naciskał, by wyraziła swoje zdanie, ponieważ miał wrażenie, iż z wyższością patrzy na wszystko, co się wokół niej dzieje.

- Ja... zgadzam się.

Rexowi zdawało się, że w jej głosie słychać było niechęć.

„Ma miły głos” pomyślał „łagodny i dźwięczny. Mimo to jest w nim wyraźny twardy akcent, który działał onieśmielająco”.

Wówczas przyrzekł sobie, że właśnie taki nigdy się nie stanie - onieśmielony ani zniewolony przez własną żonę.

To co, że jest bogata; to co, że może mu zaoferować tyle samo albo i więcej niż on jej. Ale w tej sytuacji, w jakiej się znaleźli, albo razem dopłyną, albo razem utoną. Mówiąc inaczej, albo uratują sir Terence'a, albo pozwolą mu utonąć.

Gdy jego powóz stanął wreszcie przed Travellers' Club. Rex Daviot zdecydował, że nie wytrzyma dłużej wyłącznie w swoim towarzystwie.

Znajdował się w samym sercu Londynu, miejscu, gdzie można było znaleźć każdy rodzaj męskiej rozrywki dla tych, którzy są znudzeni, załamani lub jak on niepewni jutra.

Była jeszcze wczesna godzina, zdąży się wyspać w czasie podróży do Indii.

Gdy woźnica czekał, aż pasażer wysiadzie, Rex zawołał:

- Jedź do Empire.

Gdy konie znów ruszyły, rozparł się na siedzeniu i zaczął snuć plany na dzisiejszy wieczór. Wiedział, że młody oficer, zwykle samotnie przebywający w gorącym klimacie, spędzi dziś czas na nieposkromionej, dzikiej, przepełnionej humorem zabawie.

Pożegnawszy się z Rexem, Quenella poszła na górę do swojej sypialni.

Domyślała się, że ciotka jeszcze nie śpi i czeka, by usłyszeć nowiny.

Sir Terence nie podał żonie powodu, dla którego nalegał, by zasiedli do kolacji en familie (En familie (fr.) - w rodzinnym gronie.), z Rexem Daviotem jako jedynym gościem.

- Koniecznie musimy urządzić przyjęcie na cześć majora Daviota! - sprzeciwiła się lady O'Kerry. - Jest taki atrakcyjny i wiele osób marzy, by go wreszcie poznać.

Spojrzała na męża kokieteryjnie i zaraz dodała:

- Pomimo tego, że masz tajemniczą minę i zachowujesz się jak w powieści z gatunku płaszcza i szpady, mogę cię zapewnić, Terence, że sporo osób wie, iż major Daviot jest w indyjskich służbach specjalnych i stał się bohaterem wielu dziwnych przygód -

- Nie pozwalam ci mówić w ten sposób! - rzucił oschle sir Terence.

- Ja tylko powtarzam, co usłyszałam na proszonych herbatkach - odrzekła lady O'Kerry urażonym tonem.

- Okropne kobiety! To gorsze niż wszystkie plotki bazarowe! - grzmiał sir Terence.

Jego żona roześmiała się.

- Widzę, mój drogi, że trafiłam w czułe miejsce, ale to jeszcze nie powód, żebym nie mogła zaprosić na przyjęcie kilka ślicznych pań dla atrakcyjnego majora Daviota.

Zamilkła, po czym kontynuowała:

- Kiedy był tutaj w zeszłym roku, kochał się w lady Barnstaple, ale przypuszczam, że to już minęło?

- On ma zjeść kolację tylko z nami i z Quenellą! - oświadczył sir Terence. - Nie mam zamiaru dłużej o tym dyskutować!

- Może pozwolisz mi zaprosić kilka osób w nieco późniejszym terminie? - nalegała lady O'Kerry. - Księżna zaledwie miesiąc temu mówiła mi, że spotkała Rexa Daviota w Simli i że wszystkie panie były w nim nieprzytomnie zakochane.

Lady O'Kerry wzięła głęboki oddech.

- I nie jestem tym wcale zdziwiona. On jest takim romantycznym bohaterem, w którym się kochają dziewczęta w wieku Quenelli...

Przerwała, wydała stłumiony okrzyk i zaraz dokończyła:

- To dlatego chcesz, żebyśmy byli tylko w czworo! Ależ jestem niemądra! W ogóle o tym nie pomyślałam. Ale, oczywiście, cóż może być lepszego?

Sir Terence nie odpowiedział.

- Mam tylko nadzieję, że Quenella będzie bardziej miła niż w zeszłym tygodniu. Odnosiła się wręcz obrzydliwie do lorda Antrim, gdy spotkaliśmy go w parku. Poza tym odrzuca wszystkie zaproszenia. Jestem doprawdy tym załamana!

- Betty, zrób po prostu to, o co cię proszę - zniecierpliwiał się sir Terence. - Chciałbym mieć smaczną kolację dla nas

czworga, a potem proponuję, żebyś znalazła jakiś wybieg i poszła wcześniej spać.

- Terence, coś się szykuje! - wykrzyknęła lady O'Kerry. - Słyszę to w twoim głosie i chcę wiedzieć, co planujesz.

- Powiem ci, gdy to się już stanie - obiecał jej w końcu mąż.

Chociaż lady O'Kerry próbowała wyciągnąć co się da z Quenelli, musiała cierpliwie czekać w swojej sypialni. Tymczasem na dole „działy się sprawy”.

Quenella nie miała zamiaru dzielić się z ciotką wiadomością o planowanym małżeństwie. Umierała na samą myśl, że musi o tym z kimś porozmawiać.

Weszła do swej sypialni i zamiast zadzwonić na pokojówkę, by jej pomogła się rozebrać, usiadła na krzeselku przed toaletką i wpatrywała się w swe odbicie w lustrze.

Nie widziała jednak w nim swojej twarzy.

Zamiast niej widziała twarz księcia, gdy wtargnął niespodziewanie do jej sypialni i rzucił się na nią, zanim zdążyła zaprotestować.

Na wspomnienie tego już robiło się jej słabo.

Do tamtej chwili nie знаła uczucia strachu. Lęku przed człowiekiem, który przestał panować nad sobą i zachował się jak zwierzę.

Walczyła z nim ze wszystkich sił, ale z przerażeniem uświadamiała sobie, że to bezskuteczne.

Kiedy rozrywał jej ubranie, krzyknęła, potem raz jeszcze, odwracając głowę na bok. Wtedy nie mógł jej zatkać ust ręką.

Ludzie, którzy przybiegli na pomoc, odciągnęli napastnika. Byli pełni współczucia i litości, co ją upokarzało niemal równie głęboko jak postępek księcia... Choć wszyscy wyrażali oburzenie z powodu tego zajścia, jednocześnie winili ją po cichu o to, że go zachęcała.

Quenella wiedziała, że księżę nie potrzebował żadnej zachęty. Zakochał się w niej, jak powiedział, od pierwszego wejrzenia.

Nie była to miłość, która by mogła uczynić kobietę szczęśliwą lub napęłnić ją dumą. Było to pospolite, niepohamowane pragnienie, by ją osiąść i uczynić sobie powolną.

Każde jej słowo podsycalo to niezdrowe, brutalne pożądanie. Zachowywał się jak tygrys ludojad na łowach.

Analizując poprzednie fakty zaczynała rozumieć, że powinna unikać księcia Ferdynanda od samego początku.

Zacząło się od tańca czy dwóch na każdym balu. Przyjmując to ostatnie nieszczęsne zaproszenie, nie miała pojęcia, że księżę tam będzie. Kiedy było już za późno, próbowała mu powiedzieć, że budzi w niej odrazę. Wtedy wpadł w szal i usiłował ją zgwałcić.

Teraz, co za ironia losu, warunkiem uwolnienia się od jednego mężczyzny jest małżeństwo z drugim.

- Nienawidzę go! - krzyknęła Quenella do swego odbicia w lustrze. - Nienawidzę go i przysięgam, że jeśli złamie swą obietnicę i spróbuje mnie dotknąć, zabiję go!

Przez chwilę wydawało się, że w jej ciemnych oczach zapłonęły czerwone ogniki. Potem dodała:

- A jeśli nie jego, to zabiję siebie!

Rozdział 3

Sir Terence wznosił toast.

- Za twoje szczęście! - powiedział. - Wierzę z całego serca, że oboje je znajdziecie.

Taka szczerość brzmiała w jego głosie, że Quenella pomimo swego sceptycyzmu nie mogła mu nie odpowiedzieć.

- Dziękuję, stryju Terence. Lady O'Kerry wytarła łzę z oka.

- Chciałabym tylko, żebyście mieli odpowiedni ślub - rzekła. - Wielką radość sprawiłaby mi uroczystość w kościele Świętego Jerzego lub Świętej Małgorzaty w Westminster. Gdy wychodziłam za mąż, miałam dziesięć druhen...

- Jedną brzydszą od drugiej - przerwał sir Terence. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Quenella wiedziała, że jej stryj w ten sposób uniknął sentymentalnej sceny, które jej ciotka niezmiennie uwielbiała.

- Wdzięczny jestem przynajmniej za to, że pobieramy się bez tej całej wrzawy - stwierdził Rex Daviot.

Poprzedniego dnia królowa przyjęła go w zamku Windsor, gratulując mu nie tylko osiągnięć w Indiach, ale i planowanego małżeństwa.

- Żałuję tylko - oświadczyła z cieniem dezaprobaty w głosie - że to się dzieje w takim pośpiechu.

- Wasza Wysokość rozumie, że ważne jest, bym wrócił do Indii tak szybko, jak tylko to możliwe.

Wątek pośpiechu mógł stworzyć niezręczną sytuację, gdyby Jej Wysokość dowiedziała się, że ślub ma się odbyć w cywilnym urzędzie. Ale królowa zmieniła temat.

- Niepokoję się raportami, które mówią o ewentualności przeniknięcia rosyjskich agentów do Tybetu.

To właśnie w jej stylu, pomyślał Rex Daviot, znać najtajniejszy z dyplomatycznych sekretów.

- Nie jesteśmy pewni, czy rzeczywiście Rosjanie są w Lhasie - oświadczył - ale premier Nepalu, który - jak zapewne Wasza Wysokość wie - zawsze był przyjaźnie nastawiony do Wielkiej Brytanii, przekazał nam kilka niepokojących sugestii.

- O tym właśnie słyszałam - rzekła królowa - i nie muszę ci mówić, lordzie Daviot, jaką katastrofą byłoby zajęcie Tybetu, skoro próbowali zająć Afganistan.

Było zaskakujące, że królowa była tak dobrze poinformowana o wszystkim, co dotyczy rozległego imperium.

Rex Daviot wiedział, że Indie są szczególnie bliskie jej sercu. Kiedy zmarł osobisty służący królowej, szkocki łowczy John Brown, zastąpiła go Hindusem.

Audiencja trwała jeszcze chwilę, potem Rex Daviot opuścił zamek Windsor. Jego nominacja i nadanie godności para miały zostać ogłoszone w „Gazette” następnego ranka.

Tak więc lord Daviot, z poślubioną już Quenellą, miał - zgodnie z radą sir Terence'a - w południe wyruszyć do Southampton. Tam mieli wsiąść na statek udający się w rejs do Bombaju; stamtąd mieli jechać do Kalkuty.

- Najpierw złożycie wizytę wicekrólowi w Kalkucie - rzekł sir Terence - a potem już pociągiem udacie się do Lucknow.

Ciągnął dalej poważnym głosem:

- Musisz wykazać dużo ostrożności, Rex. Zaznacie w Indiach dużo przyjemności, dołączając do szacownego grona gubernatorów. Jednocześnie możecie się spodziewać sporej dozy niechęci, zazdrości, a nawet nienawiści.

Przerwał, a potem dodał:

- Najważniejsze jest to, że twoja nominacja wzbudzi sporo przerażenia wśród tych, którzy wiedzą, że potrafisz być bezwzględny.

Sir Terence miał na myśli niezliczonych szpiegów i agentów na rosyjskim żołdzie, których Daviot zdemaskował lub zlikwidował, zanim zdolali wyrządzić poważniejsze szkody.

W podbitym kraju zawsze łatwo znaleźć buntowników, a także takich, którzy zrobią wszystko dla pieniędzy, nieważne z jakiego pochodzą źródła.

Rosjanie byli niedościgłymi mistrzami w podżeganiu tych, którzy pragnęli świętej wojny, którzy chcieli pozbyć się Brytyjczyków z Indii, lub którzy po prostu mieli buntowniczą naturę.

Indyjska Secret Service, zwana Wielką Grą, była najlepszą tego typu organizacją w świecie. Służyli w niej zaufani ludzie, którzy oddali jej najlepsze lata życia, a często nawet samo życie.

Tego ranka Rex uświadomił sobie, że to dzień jego ślubu. Jak jego żona przystosuje się do niezwykle ciekawego, ale niebezpiecznego życia, które dotychczas prowadził?

Podjął decyzję, że małżeństwo nie powstrzyma go od większości jego przedsięwzięć; ale musi zachować większą ostrożność.

Nie było wątpliwości, że gubernator północno - zachodnich prowincji nie może zniknąć na tygodnie czy miesiące, jak to czynił dawniej w przebraniu, nie dopuszczając by go kiedykolwiek rozpoznano.

Wiedział też, że może liczyć na swoich dawnych przyjaciół i nadal polegać na ich pomocy. Ludzie wszelkich profesji nadal będą mu przekazywali poufne informacje z różnych stron kraju.

Najbardziej fascynujące w Wielkiej Grze było to, że poza kilkoma ludźmi na samym szczycie nikt nie znał prawdziwej tożsamości innych. Byli po prostu numerami i chociaż czasem spotykali się przypadkowo lub pomagali sobie w potrzebie,

tylko Rex i jeszcze jeden człowiek znali ich prawdziwe nazwiska i wiedzieli, gdzie ich szukać.

Taki kamuflaż niesamowicie utrudniał Rosjanom czy innym nieprzyjaciołom rozwikłanie splątanych nici wywiadu, które pokrywały kraj niezniszczalną siecią setek i tysięcy najróżniejszych ludzi, kierowanych przez małą garstkę Brytyjczyków.

Chociaż Rex mógł obawiać się przyszłości, to patrząc na swą narzeczoną musiał przyznać, że w całym świecie trudno byłoby znaleźć piękniejszą kobietę.

Ponieważ pragnęli zachować tajemnicę aż do chwili ceremonii, Rex samotnie podjechał dorożką pod cywilny urząd w St. John's Wood, niedaleko od domu sir Terence'a.

Kiedy tam przybył i sprawdził, że wszystkie jego dokumenty są w porządku, pozostało mu tylko czekać na Quenellę, która dotarła po kwadransie z sir Terence'em i lady O'Kerry.

Gdy weszła do bezosobowego, dość ciemnego biura wydawało się, że jej postać rozświetliła całe pomieszczenie. Notariusz i jego pomocnik - zaskoczeni wyglądem dziewczyny - wpatrywali się w Quenellę z niekłamanym zachwytem.

Tradycyjny biały strój zastąpiła podrózną atlasową suknią i krótkim, obcisłym aksamitnym żakietem obszytym sobolami.

Ponieważ Quenella nie była przesadnie tradycyjna lub może chciała w ten sposób wyrazić swój bunt, jej suknia była szmaragdowozielona. Kapelusz miała przyozdobiony strusimi piórami tej samej barwy.

Trzymała bukiet purpurowych orchidei, których Daviot nie wybierał sam. Sir Terence kupił je na prośbę Rexa. W ten sposób Quenella miała kwiaty wymarzone do stroju.

Był trochę rozbawiony jej wyborem, ale musiał przyznać, że wygląda jak niesamowity, egzotyczny kwiat, wobec którego żaden mężczyzna nie może przejść obojętnie.

Gdy ją przywitał, nie obdarzyła go nawet spojrzeniem. Nie wiedział, czy to wynik nieśmiałości, czy po prostu niechęć do całej tej farsy.

Nie było czasu na rozważania; notariusz już czekał i po wypowiedzeniu kilku zwyczajowych formułek zostali ogłoszeni mężem i żoną - bez błogosławieństwa Kościoła.

Złożyli podpisy, a potem wszyscy razem pojechali zamkniętym powozem sir Terence'a z powrotem do domu w St. John's Wood.

Tam czekano na nich z szampanem i przekąskami. Chociaż nikt nie sprawiał wrażenia głodnego, wino Rex wypił z przyjemnością.

Kiedy się już trochę odprężyli, a sir Terence nawet ich trochę rozweselił, nadeszła pora odjazdu.

- Myślę, moja droga Quenello, że powinnaś się przygotować do drogi.

- Oczywiście, stryju Terence - odpowiedziała i skierowała się do swego pokoju. Za Quenellą udała się lady O'Kerry.

Sir Terence wzniosł kielich.

- Na stacji będzie na was czekał Archerson z najświeższymi raportami, które dotarły dziś rano, i z listem; byłbym wdzięczny, gdybyś przekazał go wicekrólowi. Ten drugi jest dla naczelnego dowódcy.

- Czy życzy pan sobie, żebym coś jeszcze załatwił? - zapytał Rex.

Sir Terence uśmiechnął się.

- Rób tylko dalej swoją robotę.

- Królowej doniesiono o raportach na temat rosyjskich agentów w Lhasie. Myśli pan, że to prawda?

Sir Terence wzruszył ramionami.

- Uzyskanie dokładniejszych informacji z Tybetu jest absolutnie niemożliwe, ale jestem pewien, że skoro nie dają nam spokoju na północno - zachodnim pograniczu, tym trudniej będzie pilnować naszych interesów po drugiej stronie Himalajów.

Rex westchnął.

Wiedział dobrze o uporczywych walkach toczonych w poprzednich latach o wyparcie Rosji z Afganistanu.

Ale poza majestatycznymi szczytami i ośnieżonymi przełęczami Himalajów leżały kraje, a wśród nich Tybet, gdzie Rosjanie mogliby narobić wielkich szkód, gdyby tylko mieli po temu możliwości.

Pogłoski, które słyszał na temat rosyjskich ekspedycji w okolicach Tybetu, nie miały związku - choć tak zapewniano - z działalnością naukową czy religijną.

Rex Daviot był tak zajęty zażegnywaniem konfliktów narodowościowych w okolicach Khyber Pass, że nie miał do tej pory czasu na zajęcie się innym pograniczem.

Sir Terence, jakby wiedząc, jakie myśli zaprzatają głowę Rexa, odezwał się:

- Jak ja ci zazdroszczę! Chciałbym, na Boga, być trochę młodszy! Wydaje mi się, że otwiera się tyle nowych możliwości, które dotychczas leżały poza naszym zasięgiem.

- Chciałbym doprawdy, żeby pan pojechał ze mną - odpowiedział Rex. - Ale dzięki Bogu mamy wicekróla w osobie lorda Curzona, który spędził bardzo wiele lat w Indiach i rozumie wszystkie trudności.

- To dziwny człowiek - odparł sir Terence. - Wspaniały, obaj to wiemy, ale w trudny do opisanego sposób jest swoim największym wrogiem.

- Zgadza się - rzekł Rex. - Jednocześnie wierzę, że gdy przyjdzie czas na pisanie historii, Indie będą mu głęboko wdzięczne.

- Jestem pewien, że tak będzie - zgodził się sir Terence.

Rexa uderzyło, że była to dziwna konwersacja jak na pierwsze minuty jego małżeństwa; sir Terence pomyślał o tym samym i wyciągnął zegarek z kieszonki.

- Powinniście ruszać za kilka minut. Nie wolno wam się spóźnić na pociąg.

- Oczywiście że nie.

Kiedy Rex to mówił, otworzyły się drzwi i obaj odwrócili się oczekując Quenelli. Tymczasem, ku ich zaskoczeniu, lokaj zapowiedział:

- Jego Wysokość książę Ferdynand von Schertzenberg!

Minęła zauważalna chwila, zanim sir Terence ruszył do przodu.

- Wasza Wysokość! Co za niespodzianka!

- Ponieważ baron von Mildenstadt nie otrzymał odpowiedzi na list z zaproszeniem pańskiej bratanicy, przyszedłem zapytać, czy istnieje jakaś przyczyna opóźniania pańskiej zgody.

W jego głosie przebijały grubiańskie dźwięki.

Książę był trzydziestopięcioletnim mężczyzną, wysokim i przystojnym. Jego teutońska duma nosiła znamiona arogancji.

Choć miał na sobie zwyczajny strój, Rex czuł, że nie tylko tytuł, ale i mundur określają jego osobowość. Nie można było o nim myśleć inaczej jak o władcy i żołnierzu świadomym swojej pozycji.

Książę czekał na odpowiedź sir Terence'a, ale ten - najwyraźniej grając na zwłokę - rzekł:

- Czy mogę przedstawić Waszej Wysokości lorda Daviota?

Czoło księcia zmarszczyło się, tak jakby uraziła go zmiana tematu rozmowy. Potem, kiedy Rex skłonił się w sposób właściwy wobec księcia, powiedział:

- Daviot? Wydaje mi się, że znam to nazwisko. Tak, oczywiście! Słyszałem, że mówi się o panu w związku z Indiami.

- Zgadza się, Wasza Książęca Wysokość.

- Nie wiedziałem, że posiada pan tytuł lorda.

- To całkiem świeża sprawa.

- To wszystko tłumaczy - stwierdził książę. - Moja pamięć nigdy mnie nie zawodzi.

Najwyraźniej nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

W ten sposób przestał sobie zaprzętać głowę Rexem i rzekł do sir Terence'a:

- Teraz przejdźmy do sprawy zaproszenia. Ja i baronowa von Mildenstadt pragnęlibyśmy bardzo, żeby pańska bratanica zaszczyliła swą obecnością bal wydany na moją cześć.

- Z przykrością stwierdzam, Wasza Wysokość - odparł sir Terence - że Quenella nie może przyjąć uprzejmego zaproszenia baronowej.

- A to dlaczego?

Pytanie zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. W oczach księcia pojawił się wyraz, który wprowadziłby każdego z jego rodaków w przerażenie.

- Quenella... - zaczął sir Terence.

Kiedy to mówił, drzwi otworzyły się i Quenella weszła do pokoju.

Ubrana była w tę samą suknię, którą miała w czasie ślubu; teraz narzuciła na nią grubą aksamitną pelerynę podbitą futrem.

Zamiast kapelusza z piórami miała na głowie mały czepek z zawiązaną pod brodą tasiemką.

Wyglądała tak pięknie, że trudno się dziwić, iż z twarzy księcia zniknął gniew. Zdawał się pożerać ją wzrokiem.

- Od wielu dni próbowałem zobaczyć panią! - zawołał ksiązę głosem wyraźnie przeznaczonym tylko dla jej uszu. - Przyszedłem dowiedzieć się, dlaczego nie ma odpowiedzi na zaproszenie Jej Ekscelencji.

Przemawiał do niej tonem, który większość kobiet uznałaby za próbę zastraszenia. Quenella, całkowicie opanowana, odparła.

- Sądzę, że mój wuj wyjaśnił powód.

- Jeszcze tego nie zrobił - odpowiedział ksiązę chrapliwym głosem - wolałbym to raczej usłyszeć od pani.

Gdy to mówił, patrzył na jej usta w taki sposób, że Rex miał go ochotę uderzyć.

Bez pośpiechu, z wysoko podniesioną głową, Quenella podeszła do Rexa.

Stanąwszy u jego boku, rzekła z prostotą:

- Czy mogę przedstawić Waszej Księżęcej Wysokości mojego męża!

Jej głos nie zadrżał i tylko wyjątkowo spostrzegawczy

Rex wiedział, jaki lęk ją trawił pod maską opanowania.

Nie było cienia wątpliwości, że ksiązę jest zmieszany.

- Pani jest zamężna? - Jak to możliwe?

- Moja bratanica i lord Daviot pobrali się dziś rano - wyjaśnił sir Terence. Właśnie w tej chwili wyruszają do Indii. Jestem pewien, że Wasza Księżęca Wysokość chciałby złożyć im swoje gratulacje i najlepsze życzenia.

Mówił to ostrzegawczym tonem, którego ksiązę nie mógł nie zrozumieć.

Wciąż stał i patrzył groźnie, jak zwierzę przyłapanie przed skokiem na upatrzoną ofiarę.

Przez chwilę wydawało się, że zamienił się w słup. Właśnie wtedy, gdy sir Terence zamierzał przerwać tę niezręczną ciszę, do pokoju weszła lady O'Kerry.

- Powiedziano mi, że jest tu Wasza Księżęca Wysokość - rzekła lady O'Kerry beztroskim, trochę sztucznym tonem, którego używała w czasie spotkań towarzyskich. - Jak to uprzejmie z pana strony, księżę, że chce pan złożyć naszej drogiej Quenelli życzenia szczęścia na nowej drodze życia.

Złożyła głęboki ukłon, stanęła twarzą do księcia, przegradzając jego roziskrzone oczy i bladą twarz Quenelli.

- Oczywiście, lady O'Kerry - rzekł - to wielka niespodzianka. Szkoda, że dowiaduję się w takich okolicznościach.

W jego oczach pojawiła się podejrzliwość, jakby czuł, że z jakiegoś szczególnego powodu został oszukany.

- Lord Daviot przyjechał z Indii trzy dni temu - wyjaśnił sir Terence - i wczoraj musiał złożyć królowej wizytę w Windsorze. Otrzymał potwierdzenie swej nominacji na gubernatora północno - zachodnich prowincji.

Księżę zignorował pana domu i zwrócił się bezpośrednio do Quenelli.

- Czy naprawdę jedzie pani do Indii?

- Właśnie w tej chwili - wmieszał się Rex zanim Quenella zdołała odpowiedzieć - i zapewne Wasza Księżęca Wysokość rozumie, iż musimy wyruszać natychmiast, jeśli chcemy zdążyć na pociąg.

Podszedł do lady O'Kerry wyciągając rękę.

- Dziękuję za pani uprzejmość - powiedział. - Mam nadzieję, że niedługo zdoła pani przekonać męża, żeby odwiedził nas w Lucknow?

- Oczywiście - odparła. - Niczego bardziej nie pragniemy. Quenella ucałowała ciotkę.

- Do widzenia, najdroższa ciociu i dziękuję za wszystko.

Musiała przejść obok księcia, żeby dołączyć do męża, który był już na schodach.

Wzrok księcia mówił, że czuje się jak ktoś, kto otrzymał potężny cios w najmniej oczekiwanym momencie. Był wściekły i już snuł plany zemsty.

Quenella skłoniła się głęboko.

- Do widzenia, Wasza Książęca Wysokość!

- Więc to prawda? - zapytał cichym głosem. - Najprawdziwsza prawda! Jedzie pani do Indii!

Quenella nie odpowiedziała, tylko odwróciła się w stronę drzwi.

Książę wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

- Zaczekaj! - zawołał.

Sir Terence szybko ruszył za Quenellą.

- Wasza Książęca Wysokość wybaczy, muszę odprowadzić bratanicę do powozu - rzekł.

Nie czekając na odpowiedź, szybko wyszedł z salonu.

Na dole w przedpokoju ugrzeczniony służący pomagał Rexowi włożyć płaszcz. Obok, wyprostowany, stał adiutant księcia.

Nie było odpowiednich warunków, żeby powiedzieć sobie coś osobistego. Quenella tylko pocałowała stryja, potem jeszcze raz ciotkę, i weszła do czekającego powozu.

Rex dołączył do niej. Sir Terence i lady O'Kerry, z trudem powstrzymując łzy, machali im na pożegnanie.

Usadowiwszy się w kącie powozu, Rex powiedział:

- To była z pewnością nieoczekiwana i niemiła niespodzianka!

- Jak on śmiał przyjść bez zaproszenia, z zamiarem zmuszenia mnie do udziału w przyjęciu! - wykrzyknęła Quenella.

Gdy już było po wszystkim, w jej głosie brzmiał gniew i słychać było napięcie.

- Zapomnij o nim! - rzekł Rex. - Wasze drogi już nigdy się nie skrzyżują, a choćby nie wiem jak był gruboskórny, zrozumiał, że został pokonany.

Quenella zadrżała lekko.

- Mam nadzieję, że masz rację, ale wydaje mi, że to dzikie zwierzę, które będzie walczyć do końca i nie przyzna się do porażki.

- Wyjątkowo nieprzyjemny typ - stwierdził Rex - ale zapewniam cię, że jego pozycja towarzyska nie pozwoli mu nic przedsięwziąć. Będzie musiał pogodzić się z tym, co go spotkało.

- Czy sądzisz, że może... skrzywdzić wuja Terence'a?

- W tej chwili byłoby to trudne. Może próbować, ale skoro nic nie może zyskać, wątpię, czy będzie chciał.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Po pewnym czasie Quenella stwierdziła sentencjonalnie:

- Sądzę, że powinnam być ci wdzięczna za uratowanie mnie przed tą godną pożałowania kreaturą.

- Myślę, że to żenujące dla nas obojga przypominać, co sobie nawzajem zawdzięczamy - sprostował Rex z nutą rozbawienia w głosie. - Od chwili gdy jako sześciolletniemu brzdącowi kazano mi napisać podziękowania do moich rodziców chrzestnych, zanim mogłem się bawić prezentami bożonarodzeniowymi od nich, nienawidzę podziękowań.

Cień uśmiechu pojawił się na wargach Quenelli, gdy odparła:

- Ja przeżywałam podobne cierpienia, ale uważam, że wszystkie dzieci powinny przejść przez taką lekcję dobrych manier.

Gdy to mówiła, Rex był przekonany, że przemknęła jej przez głowę myśl, że jeśli chodzi o ich małżeństwo, to nie będzie dzieci i problemu nauczania dobrych manier.

Był zaskoczony łatwością, z jaką mógł czytać w jej myślach; wiedział, że odgadł jej refleksje, ponieważ odwróciła głowę, wyjrzała przez okno i powiedziała zbyt szybko i nienaturalnie:

- Mam nadzieję, że nie spóźnimy się na pociąg.

- Mamy mnóstwo czasu - odpowiedział wyciągając zegarek i sprawdzając godzinę. - Wydaje mi się, że sir Terence przypomina moją matkę, która zawsze łapała pociąg wcześniejszy niż ten, którym zamierzała jechać.

- To na pewno lepsze, niż skutki spóźnienia - stwierdziła Quenella.

Milczenie zapadło w powozie i Rex zaczął się zastanawiać, czy będzie musiał znosić takie bezsensowne * rozmowy przez całą resztę swego małżeńskiego życia.

Zawsze będą się zdarzać niezręczności, będzie istnieć niebezpieczeństwo popełnienia faux pas (Faux pas (fr.) - niezręczność.), uczynienia uwagi, która swą dwuznacznością wywoła zażenowanie.

Czy warto było skazać się na takie sytuacje?

Czy Indie warte są poświęcenia im swej wolności?

Nie tylko Indie skłoniły go do małżeństwa, lecz także kariera sir Terence'a, którą tak długo budował.

Przez chwilę zapomniał o Quenelli i pomyślał o niejakiem Patanie - C17 w Wielkiej Grze - którego raporty ocalały wiele istnień; bez wątpienia będzie na niego czekał w Lucknow.

Był też Bengalczyk w Kalkucie i skromny sklepikarz w Bombaju, i tuziny innych ludzi rozrzuconych po rozległych, gorących indyjskich równinach; ludzie ci byli nitkami pajęczej sieci, w którą wpadały rosyjskie muchy w najmniej oczekiwanych momentach.

To byli ludzie, których nie mógł zawieść.

To byli ludzie, którym ufał i których zaufaniem się cieszył. Znaczyli więcej niż kilka niezręcznych chwil

spędzonych z kobietą, która dziwnym zrządzeniem losu została jego żoną.

Statek, którym podróżowali lord i lady Daviot nie różnił się niczym szczególnym od innych, przemieszczających po całym świecie dwieście tysięcy pasażerów.

Marynarze uwielbiali mapę, na której wszystkie brytyjskie statki pływające po morzach były oznaczone czerwonymi kółkami. Można je było skojarzyć z tysiącami krwinek przepływającymi w żyłach świata.

Nowożeńcy zaokrętowali się na „Bezwadę” w Southampton. Rex mógł, jak sądził, zidentyfikować prawie wszystkich pasażerów wypełniających czarny kadłub statku.

W oczy rzucali się pełni animuszu młodzi kadeci - gładcy, różowi i pewni siebie, a także brązowi, przygarbieni weterani, najwidoczniej wyniszczeni atakami febry.

Były też umęczone „indyjskie” żony o niezdrowej, wysuszonej cerze. Wracały do mężów po krótkim miesiącu spędzonym z dziećmi, które w Anglii uczęszczały do szkół.

Były oczywiście nowe zastępy „rybackiej flotylli”, chichoczące panienki, jasnowłose i ruchliwe. Pływały z nadzieją, że w Indiach znajdą początek i kres swoich życiowych ambicji - mężczyznę i małżeństwo.

Dla setek brytyjskich rodzin podróż na Wschód była częścią życia, jak początek roku szkolnego czy coroczna wizyta u dentysty.

Zwykle spotykano przyjaciół na pokładzie statku. Prowadzono nie kończące się intrygi, by popłynąć z tą samą załogą, która zapewniała taki komfort w czasie poprzedniego rejsu.

Ale przede wszystkim był w tym smak przygody. Pływały się przecież na Daleki Wschód, statki miały górnolotne nazwy, czyściutkie nadbudówki, obserwatorów na bocianim gnieździe i nieodzownie łopoczącą na wietrze flagę.

Sir Terence zorganizował tę podróż. Z pewnością musiał użyć swych wpływów, by w ostatniej chwili zapewnić Rexowi i Quenelli dwie najlepsze kabiny z łączącym je salonem.

Od razu na pokładzie Rex miał możliwość stwierdzić, że Quenella jest równie bywałym jak on podróżnikiem; przecież bardzo wiele podróżowała wraz z ojcem.

Rozejrzała się po kabinach i zleciła stewardowi, by uzupełnił je kilkoma niezbędnymi drobiazgami, o których zapomniano. Bez wahania zdecydowała, co z bagażu będzie jej potrzebne w czasie rejsu, a co można zdeponować w ładowni.

Pozostawiając mężowi inne sprawy, zamknęła drzwi tak starannie, jakby chciała mu powiedzieć, że zamyka się nie tylko przed nim, ale przed całym, pełnym niepokoju, zewnętrznym światem.

W drodze do Southampton Rex rozmyślał, że scena z księciem nie wróży dobrze początkowi ich małżeństwa.

Myślał też z satysfakcją, iż całkiem nieźle poradzili sobie z tą niezręczną sytuacją; nie dopuścili do gwałtownych słów i nie pozostawili księciu żadnych wątpliwości, że jego osoba stanowi już przeszłość w życiu Quenelli.

Choć wydawało się to niewiarygodne, Rexowi było żal księcia. Wyraz jego oczu mówił, że wszystkie uczucia i pragnienia skupiały się na Quenelli. Zająła tak ważną pozycję w jego życiu, że trudno mu będzie przyzwycząić się ponownie do szarej codzienności.

Rex zajmował się studiowaniem ludzkiej psychiki. Musiał rozumieć człowieczą naturę. Domyślał się, co znaczy dla kogoś takiego jak książę, być tak nagle strąconym z piedestału. Być gotowym pozbyć się swej dumy, zapomnieć o wszystkim, poza kobietą, której się pragnie; takie doświadczenie może pozostawić bliznę na wiele lat, a może na całe życie!

Nawet biorąc pod uwagę urodę Quenelli, trudno było zrozumieć, że mogła wywołać taki efekt bez żadnej próby kokietowania księcia.

Może, myślał Rex, ta zupełna obojętność, jej rezerwa i lodowaty chłód, które są tak odpychające, doprowadziły księcia do granic szaleństwa.

Cokolwiek to było, niewiele go pocieszyła nadzieja, że nie będzie już więcej takich incydentów. W przeciwnym wypadku uczyniłoby to ich życie jeszcze trudniejszym, niż wydaje się teraz.

Przybyli na pokład godzinę przed obiadem. Pięć minut przed dzwonkiem oznajmującym, że posiłek jest gotowy, Quenella wyszła ze swej kabiny.

Rex tymczasem spowodował, że wewnątrz salonu stało się bardziej przestronne, niepotrzebny bagaż usunął do ładowni, rozpakował książki i dokumenty i starannie je poukładał.

Sir Terence zadbał o kwiaty i owoce; otwarta butelka szampana chłodziła się w kubelku z lodem.

Kiedy Quenella weszła, zauważył, że się przebrała do obiadu. Było to dość niezwykle pierwszego wieczoru na morzu.

Nie popełniła jednak gafy i nie włożyła wieczorowej toalety, jedynie atrakcyjną suknię z ciemnoniebieskiej koronki. W talii przypięła dwie purpurowe orchidee ze ślubnego bukietu.

- Kieliszek szampana sprawi ci zapewne przyjemność - oświadczył Rex.

- To miłe z twojej strony! - odpowiedziała Quenella - ale poproszę tylko pół.

Zrobił tak, jak prosiła, a potem spytał:

- Lepiej się czujesz?

Uniosła brwi, jakby pytanie ją zaskoczyło.

- Trudno tak całkiem opanować wzburzenie - wyjaśniła - bądź co bądź wyszłam za mąż i przeżyłam niespodziewane spotkanie z kochliwym księciem.

Przez chwilę pomyślał, że miała to być złośliwość, ale Quenella roześmiała się.

- Trudno nie zaprzeczyć, że to jest całkiem zwyczajny dzień w moim życiu.

- W moim też nie - odparł. Wypijmy więc za mniej burzliwą, przynajmniej do chwili dotarcia do Indii, przyszłość.

Kiedy zasiadali do obiadu, przemyślnie unikając zajęcia miejsc przy kapitańskim stole, Quenella poprosiła Rexa:

- Jeśli to możliwe, chciałabym, żebyś w czasie podróży opowiedział mi o Indiach, a także wskazał odpowiednią lekturę.

I za chwilę dodała:

- Wzięłam trochę książek ze sobą, ale nie jestem pewna, czy jest w nich to, co chcę wiedzieć.

- A co chcesz wiedzieć?

- Chcę rozumieć ludzi, którymi masz rządzić; chociaż to trudna sprawa, od czegoś trzeba chyba zacząć.

W istocie - odparł. - Jestem zdziwiony, że ojciec nigdy cię nie zabrał do Indii.

- Tata był zajęty zarabianiem pieniędzy w innych częściach świata - odpowiedziała Quenella.

Rzuciła Rexowi spojrzenie spod długich rzęs, a potem dodała:

- Trudno sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych braci niż tata i stryj Terence.

- Czym się tak różnili?

- Tata był nadzwyczaj ambitny w sprawach dotyczących materii, wuj Terence - jak sądzę - poświęcił się ideałom.

Rex pomyślał, że była to inteligentna uwaga, i po chwili powiedział:

- To prawda. Jedną z rzeczy, których nauczysz się w Indiach jest to, że dla wielu ludzi w tym kraju - zarówno Brytyjczyków, jak Hindusów - ideały znaczą więcej niż cokolwiek innego.

- Tego właśnie szukam i tego chciałabym się nauczyć od ciebie. To wielkie przedsięwzięcie, ale czuję, że być może będę miała do Indii bardzo osobisty stosunek.

- Dlaczego tak myślisz? Zawahała się chwilę, zanim odrzekła:

- Zawsze czułam, że coś mnie ciągnie do tego kraju, do buddyzmu, o którym wiem niewiele; jestem pewna, że jest tam tajemna mądrość Azji, o której Zachód nigdy nie wiedział.

Rex był zaskoczony.

O ile sobie przypominał, żadna z kobiet, z którymi rozmawiał o Indiach, nie okazała żadnego zainteresowania tym, co go zawsze fascynowało: Wedy, sanskryt, którym zajmowali się tylko uczeni, cała religijna struktura określająca różnorodne i barwne indyjskie życie.

Na głos zaś powiedział:

- Mam trochę książek, o których myślę, że cię zainteresują. A jak już będziemy na miejscu, łatwo ci będzie odszukać ludzi, którzy objaśnią ci różne religie i leżące u ich podstaw idee.

Mówiąc to myślał jednocześnie, że jest mało prawdopodobne, by ciekawość Quenelli uchowała się w wirze życia towarzyskiego, plotek i innych przyziemnych błahostek, którymi Angielki wypełniały swoje życie. Większość z nich miała mało lub nie miała wcale kontaktów z miejscową ludnością. Musiały wypełniać dni bardziej doczesnymi sprawami, wśród których znaczące miejsce miały kłopoty z klimatem i hinduską służbą.

Quenella dostrzegła, że próbuje ją zbyć i nie jest przekonany o autentyczności jej zainteresowań. Zasypała go więc pytaniami.

Były to bardzo wnikliwe pytania, a on odpowiadał jej tym samym.

Traktował ją nieco sceptycznie, gdyż wiedział z doświadczenia, że kobiety nie raz wdawały się z nim w dyskusję o interesujących go sprawach wyłącznie w celu skupienia na sobie jego zainteresowania.

Po obiedzie wstała i poszła w stronę ich kabin.

- Dasz mi te książki?

- Oczywiście. Rozpakowałem je i są tutaj, na półce. Były to tylko trzy cienkie tomiki, które zwykle brał ze sobą w podróż.

Jedna z nich była o buddyzmie, druga - przepięknie napisaną indyjską mitologią, trzecia zaś traktowała o Tybecie.

Zabrał tę książkę z sobą w podróż do domu, gdyż wiedział, że ten temat pojawi się w rozmowach z sir Terence'em. Mógł on chcieć dowiedzieć się więcej o tym dziwnym i tajemniczym kraju za Himalajami.

Nigdy wówczas nie przyszło mu do głowy, że może go z tym krajem łączyć coś poza rutynowymi obowiązkami w Wielkiej Grze.

Teraz okazało się, że to przeznaczenie kazało mu wybrać ten właśnie tomik; zawarta w nim wiedza miała go bezpośrednio dotyczyć w przyszłości.

Lucknow znajdowało się niezbyt daleko od granic Nepalu, który leżał między Tybetem (od północnego zachodu) a Sikkimem (od południowego wschodu); tamtędy prowadziła droga do Ganzti, i o tym miał prowadzić rozmowy z wicekrólem.

Quenella zabrała książki. Gdyby była całkiem zwyczajną osobą, po prostu ucieszyłaby się z ich uzyskania. Po niej nie można było nic poznać.

Rezerwa odgradzała ją żelaznym murem.

- Dziękuję - powiedziała chłodno. - Dobranoc.

- Dobranoc, Quenello!

Była to ich noc poślubna. Chciałby może coś jej powiedzieć, choćby zapewnić, że nie musi się go obawiać, porozmawiać o wspólnej przyszłości.

Nie byłaby to wyłącznie uprzejmość z jego strony.

Miał na to rzeczywiście ochotę. Była bardzo młoda, nosiła jego nazwisko. Choć wiadomo, jakie były tego powody, tworzyli jednak związek dwojga ludzi, zapewne najdziwniejszy, jaki sobie można wyobrazić.

Nie dała mu sposobności do żadnych rewerencji.

Zanim zdążył otworzyć jej drzwi, przeszła do swojej kabiny. Został sam w salonie.

Bezmyślnie sączył szampana kieliszek po kieliszku z butelki, która stała w kubelku z lodem. Wypiwszy połowę, opuściłabinę i wyszedł na pokład.

Noc była zimna, ale nie mroźna; jak na początek lutego pogoda była niezwykle łagodna.

Podszedł do relingu, by popatrzeć na niknące w oddali światła Anglii. Nadal płynęli Kanałem. Szkoda że nie mógł zostać dłużej i wziąć udziału w polowaniach.

Jedyną szczęśliwą okolicznością, wynikającą ze skróconego pobytu w Anglii, było to, że nie miał czasu na wizytę u ojca. Wysłał mu tylko uprzejmy list z wyjaśnieniami.

„Powinienem otrzymać urlop w przyszłym roku”, napisał w tym liście, „i mam nadzieję, że do tego czasu dotrą do mnie lepsze wieści o Twoim zdrowiu”.

Wysłał ten list wczoraj. Drugi list, z instrukcjami, przesłał do zarządcy posiadłości.

Poczuł się nieco winny, gdyż wiedział, iż niezbędne wydatki zostaną pokryte z pieniędzy Quenelli.

Zdrowy rozsądek nakazywał jednak, by podzielić się choć trochę fortuną z ojcem, zabezpieczyć ciągłość rodowej posiadłości, która być może stanie się kiedyś domem jego i Quenelli.

Nie był jednak pewien, czy ona tam będzie pasować, tak jak zresztą żadnej rzeczy, która dotyczyła jego żony.

Westchnął i przyrzekł sobie, że ze wszystkich sił będzie się starał uczynić ją szczęśliwą; pierwszym krokiem w tym kierunku powinno być zrozumienie jej.

„Jeśli chodzi o dziewczyny”, uśmiechnął się w duchu, „Jestem pożałowania godnym ignorantem”.

Jego niewiedza dotyczyła bardzo niewielu spraw, ale sir Terence nie mylił się sądząc, iż Rex znał mało niezamężnych kobiet i przez ostatnie pięć lat robił wszystko, by unikać tego gatunku.

Quenella była oczywiście inna niż rozchichotane dziewczęta z „rybackiej flotyli”, które dostrzegł niedawno w jadalni.

Miały o sobie wysokie mniemanie, zaczepiały wzrokiem każdego mężczyznę. Ich widoczna nieznajomość świata, a w wielu przypadkach i brak wykształcenia, różniły je od Quenelli bardzo wyraźnie.

Siedząca naprzeciw niego w czasie obiadu Quenella wyglądała jak egzotyczny kwiat, jak orchidea, którą miała wpiętą w tali.

Czy jednak do właściwego kwiatu ją porównuje?

„Bardziej przypomina lilie tygrysią” jaskrawozłotą z czarnymi plamkami na płatkach”, pomyślał.

Egzotyczne lilie tygrysie przywoływały na myśl niebezpieczeństwo kryjące się w pięknie.

„Taka jest Quenella”, powtarzał sobie prawie z satysfakcją. „Piękno tak niebezpieczne, że spali mężczyznę, który spróbuje je osiąść”.

Zaśmiał się do swych rojeń i wtem usłyszał za sobą głos:

- Rex! Najdroższy! Czy to naprawdę ty? Nie miałam pojęcia, że jesteś na tym statku!

Rozdział 4

Muszę przyznać, że do twarzy ci z tytułem lordowskim - rzekła lady Barnstaple z żartobliwymi iskierkami w swych niebieskich oczach. - Będzie pasował do blasku, który emanuje z ciebie.

Rex nie odpowiedział, gdyż przywykł do prowokujących uwag, którymi Kitty Barnstaple ozdabiała każdy flirt.

- Czy zgadza się pani ze mną, lady Daviot? - zwróciła się do Quenelli.

Minęła chwila, zanim Quenella odparła z powagą.

- Nie wiem... Nigdy o tym nie myślałam. Kitty Barnstaple zaśmiała się perliście.

- Przekona się pani, iż bardzo wiele kobiet tak myśli o Rexie! Często mówiłam, że ciągną do niego jak muchy do miodu.

- Pani mnie wprawia w zakłopotanie! - zaprotestował Rex.

Wstał z krzesła, podszedł do stolika i napełnił szklaneczkę Kitty.

Pomyślał, że Kitty nie powinna zachowywać się tak poufale w obecności Quenelli, ale nic nie mógł na to poradzić.

Od chwili gdy odnalazła Rexa na statku, Kitty uczepliła się go z nieustępliwością, którą aż zanadto pamiętał.

Zeszłego roku w Simli przeżyli ze sobą burzliwy, ale krótki romans.

Rex nie był nim szczególnie zachwycony, ale w owym czasie bardzo mu to było na rękę. Wyglądał w oczach świata jak beztroski żołnierz na urlopie.

Każdego lata wicekról, w towarzystwie wszystkich liczących się osób, przeprowadzał się do Simli, siedem tysięcy stóp na poziomem morza i osiemdziesiąt mil od linii kolejowej; było to jedno z najbardziej szczególnych miejsc w świecie.

Małe, nieciekawe miasteczko w kotlinie, na południe od łańcucha górskiego, wyglądałoby jak przeciętne angielskie uzdrowisko, gdyby nie imponujący widok na Himalaje.

Powietrze było upajające i tak rozrzedzone, że przybysze mieli na początku kłopoty z zadyszką. Było zarazem tak rześkie z powodu bliskości śniegu, że czyniło ich nadzwyczaj zwawymi i pełnymi życia.

Ten klimat sprawiał, że Simla stała się nie tylko miejscem nieustających rozrywek - dwór wicekróla liczył trzysta osób - lecz także miłosnych schadzek.

Kitty Barnstaple była bez wątpienia najbardziej atrakcyjną i jedną z najpiękniejszych dam zamieszkujących rezydencję wicekróla.

Od chwili, gdy po raz pierwszy utkwiała wzrok w Rexie, dała mu jasno do zrozumienia, że jest mężczyzną, którego szukała nie tylko w Indiach, ale i w swoich marzeniach.

Zakochane kobiety nie były dla Rexa nowością, ale Kitty była inna. Jej frywolna powierzchowność kryła rozum i inteligencję niezwykłą u współczesnych dam.

Wybudowana w roku 1888 rezydencja wicekróla przypominała tyrolski dworek myśliwski, z dachem w stylu górskiego schroniska i dwoma poziomami drewnianych werand.

Równie dobrze mogła być zaplanowana jako miejsce tajemnych affaires de coeur (Affaires de coeur (fr.) - sprawy sercowe.).

Dla pragnących spotykać się potajemnie szczególnie wygodny stawał się fakt, że była zbyt mała, by pomieścić licznych domowników i rodzinę wicekróla.

Adiutanci i goście byli zatem rozmieszczani w licznych bungalowach. Rex, jako kawaler, dostał mały domek wyłącznie dla siebie.

Wieczorami miewał ekscytującą świadomość, że wkrótce Kitty, w ciemnym płaszczu i tajemniczej woalce na swych jasnych włosach, jak duch przemknie się do niego przez kwiecisty ogród.

Bungalow Rexa, zbudowany na skraju wzgórza, sprawiał wrażenie, że w każdej chwili może zsunąć się w głąb doliny.

Była to urocza miłosna przygoda. Opuszczając Simlę Rex jednak wiedział, że nie będzie jej dalszego ciągu.

Tym bardziej teraz, w czasie swego miodowego - na pozór - miesiąca, nie miał najmniejszego zamiaru wskrzeszać czegoś, co było tylko uroczym epizodem.

Drugiej nocy po ich spotkaniu na statku Kitty podeszła do niego na górnym pokładzie. Wyszedł właśnie zaczerpnąć świeżego powietrza przed udaniem się na spoczynek.

Miał nadzieję na samotność, ale Kitty podeszła w sobolowym płaszczu, a futrzany kaptur okalał jej interesującą, figlarną twarzyczkę.

- Tęskniłam za tobą, Rex - powiedziała cicho. - Tak często myślałam o małym pokoiku pod gwiazdami, który był dla mnie rajem na ziemi.

Nic nie odpowiedział, a ona po chwili rzekła tak dobrze mu znanym wibrującym głosem:

- Och, Rex!

Była w tym skarga, prośba, zaproszenie, ale gdy oparła policzek na jego ramieniu, spojrzął w morze i powiedział spokojnie:

- Nie, Kitty!

- Nie? - powtórzyła nie wierząc.

- Oboje jesteśmy zbyt mądrzy, by nie wiedzieć, że rozgrzebywanie popiołów jest zawsze pomyłką.

- Tylko kiedy ogień już zgasł. Przerwała, a potem spytała:

- Czy zgasł, Rex?

Przez chwilę on też zadawał sobie to pytanie.

Pamiętał miękkie ramiona Kitty, jej głodne wargi, zapach jej włosów. Zaraz jednak powiedział sobie, że niezależnie od małżeńskich niedogodności, będzie grał rolę gentlemana.

Nie musiał wyrażać swych myśli słowami. Kitty rozumiała go na tyle, żeby wyczuć jego nastrój.

Westchnęła tylko głęboko, i po chwili był już sam, a pod nim wzburzone morze, gdyż wypłynęli już z Kanału.

Na szczęście dla nich obojga Rex i Quenella dobrze znosili podróż morską. Jadalnia przez następne kilka dni świeciła pustkami, oni jednak nie opuścili żadnego posiłku; podobnie Kitty. Było więc zrozumiałe, że w pustej jadalni ciążyła ku nim, a jej śmiech i gadanina zmniejszały napięcie.

Pewnego razu w swym saloniku Kitty powiedziała do Quenelli:

- Ciekawa jestem, jak pani znajdzie Indie, lady Daviot. To nie jest kraj, wobec którego można pozostać obojętnym. Jest jak człowiek, którego albo się kocha, albo nienawidzi.

- Z niecierpliwością czekam, kiedy je zobaczę - odparła Quenella.

- Na pewno będą stanowić dla pani rywalkę - ciągnęła Kitty.

Siedziała w fotelu, z kieliszkiem wina w dłoni. Założywszy nogę na nogę, odsłaniała szpiczasty czubek czarnego lakierowanego pantofelka i nieprawdopodobne ilości koronek pod jedwabną suknią.

Niebieskie oczy błyszczały, włosy miała uczesane jakby szła na bal.

Była bardzo piękna i ponętna, i mogłaby wzburzyć męskie zmysły; a Quenella, przynajmniej jeśli chodzi o Rexa, na pewno nie jest do tego zdolna.

Patrząc przez długość kabiny na swą żonę Rex pomyślał, że jej uroda jest zimna jak śniegi Himalajów. Czy bucha jakiś ogień pod tą lodową skorupą?

- Nigdy nie znałam człowieka tak rozmiłowanego w Indiach i pracy dla nich jak pani mąż - kontynuowała Kitty, wciąż zwracając się do Quenelli.

- Mogę zrozumieć, że to jest absorbujące - odparła Quenella.

- Będzie pani musiała być bardzo wyrozumiała, żeby pogodzić się z tym, że czasami będzie pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę w kompletnym milczeniu albo będzie znikał w tajemniczy sposób!

Roześmiała się, a potem dorzuciła:

- Nigdy nie będzie pani wiedziała, czy wywabiła go z domu jakaś rozkoszna hurysa, czy po prostu groźba buntu jakiejś bandy parszywych tubylców.

- Wie pani bardzo wiele na ten temat, Kitty - rzekł Rex - ale proszę przestać straszyć Quenellę. Będzie miała bardzo dużo obowiązków, a ja oczywiście będę jej wiernie towarzyszył.

- Rex próbuje panią uspokoić - zawołała Kitty - ale proszę pamiętać o moim ostrzeżeniu i nie pozwolić mu zniknąć zbyt łatwo, nawet gdy będzie przedstawiał najbardziej wiarygodne powody swej nieobecności.

Rex wiedział, że Kitty w gruncie rzeczy ma zbyt dobry charakter, by próbować wywołać poważne rozdziewki między nim a Quenellą.

Świadom był jednocześnie, że czuła się dotknięta jego obojętnością. Poza tym przeżywała zwykłą kobiecą zazdrość o dawnego kochanka.

Mąż Kitty był tolerancyjnym mężczyzną, który pozwalał żonie wędrować własnymi ścieżkami, jeśli tylko nie cierpiały na tym jego interesy.

Charles Barnstaple był bogaty, czarujący i znany w towarzystwie. Przybył do Indii w jednym tylko celu: był

zapalonym myśliwym i miłośnikiem sportu: polował na tygrysy, z oszczepem na dziki, grał także w polo.

Był wszędzie, gdzie uprawiano sport na najwyższym poziomie. Choć kochał swą żonę, całkiem szczerze mówił, że jeśli mężczyzna chce się poświęcić uprawianiu sportu, kobiety są tylko zawadą.

Czwartego dnia podróży sztorm wyczyniał ze statkiem akrobatyczne sztuczki. Quenella weszła do salonu, gdzie Rex pracował przy biurku, na którym porozkładał swoje materiały.

Przed przybyciem do Indii musiał przebrnąć przez mnóstwo papierkowej roboty. Z nieoczekiwaną ulgą przyjął fakt, że Quenelli całkiem wystarczały książki, nie musiała bezustannie gadać, jakby zapewne robiła inna na jej miejscu.

Rozmawiali przy posiłkach, ale poza tym na razie żyli oddzielnym życiem. Przynajmniej w tej sprawie okazała się wspaniałą towarzyszką.

Podróż do Indii trwała blisko trzy tygodnie. Rex - któremu zwykle morska podróż dłużyła się - przegryzając się przez pliki dokumentów otrzymanych od sir Terence'a zorientował się, że będzie musiał wykorzystać każdą godzinę rejsu.

Spojrzał znad papierów, poczuł bowiem, że Quenella - choć milcząca - ma mu coś do powiedzenia.

Usiadła na krześle obok biurka, gdyż statkiem zaczęło huśtać.

Odwrócił głowę i dostrzegł, że się w niego wpatruje.

- Chyba masz do mnie jakąś sprawę?

- Chciałam o coś spytać, jeśli masz oczywiście chwilę czasu, aby mnie wysłuchać.

Rex odłożył pióro.

- Przepraszam, że nie zwracałem na ciebie uwagi; oczywiście, mam czas.

Quenella spojrzała w dół na książkę, którą trzymała na kolanach, i Rex spostrzegł, że była to indyjska mitologia.

- Podoba ci się? - zapytał. - Są bardziej obszerne i dokładniejsze książki na ten temat. Mogę je zdobyć dla ciebie, gdy dotrzemy do Indii. Ta jest moją ulubioną towarzyszką podróży.

- Okazała się fascynująca! - odparła Quenella - i dlatego chciałam cię spytać, czy mogę się uczyć języka urdu.

- Urdu? - powtórzył Rex zaskoczony.

Ze wszystkich kobiet, które poznał w Indiach przez te wszystkie lata, żadna Angielka nie umiała mówić językiem tego kraju. Wyjątek stanowiły podstawowe słowa, konieczne do wydawania poleceń służbie.

Quenella dostrzegła zapewne jego wahanie, dodała więc wyjaśniając:

- Mam zdolności lingwistyczne. Potrafię płynnie mówić pięcioma językami i chciałabym rozumieć, o czym mieszkańcy twojej prowincji mówią między sobą.

- Nie mam nic przeciwko temu - zgodził się Rex.

- Pomyślałam, że może na pokładzie jest ktoś - mówiła dalej Quenella - kto byłby gotów, oczywiście za zapłatą, zacząć mnie uczyć; wiem od ochmistrza, że drugą i trzecią klasą podróżuje sporo Hindusów.

Oczywiście żaden Hinduś, chyba że książę, nie mógłby podróżować pierwszą klasą; a i wówczas, bez wątplenia, trzymałby się na uboczu.

- Ja cię będę uczył - rzekł spokojnie Rex.

- Nie to miałam na myśli. Wiem jak jesteś zajęty i ile masz do zrobienia.

- Chciałbym cię uczyć - powiedział powoli - bo ważne jest, byś była uczona właściwie i zrozumiała, jak bardzo ten język jest odmienny w różnych częściach kraju, a także kiedy mówią nim członkowie różnych kast.

Po raz pierwszy od czasu, gdy ją poznał, w oczach Quenelli zajaśniały iskierki.

- Może mógłbyś dawać mi książki do czytania albo nawet zadawać pracę domową, żebym nie musiała być takim ciężarem.

- Nigdy nim nie będziesz, ale rozpoczniemy lekcje pod jednym warunkiem.

- Mianowicie jakim?

- Jeśli poczujesz się znudzona lub uznasz, że to za duży wysiłek, powiesz mi o tym bez ogródek.

- Oczywiście, powiem - odparła - ale ty musisz być równie prawdomówny; jeśli okażę się zbyt tępa, wówczas znajdziesz mi innego nauczyciela.

Zaczęli od razu, gdyż Rex czuł, że Quenella aż się pali; wkrótce odkrył, że nie przesadziła mówiąc, iż szybko uczy się języków.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, potrafi mówić po rosyjsku oraz innymi bardziej znanymi językami europejskimi.

- Zawsze miałam nadzieję, że pewnego dnia odwiedzę kraj mojej prababki - wyjaśniła Quenella. Tata był ciągle zajęty podróżami, znajdowałam więc sobie nauczycieli i sama kierowałam swoim wykształceniem.

Uśmiechnęła się nieśmiało i dopowiedziała:

- Obawiam się, że wynikiem tych działań są pożałowania godne luki w mojej edukacji, wybierałam bowiem tylko te przedmioty, które najbardziej mnie interesowały.

- Ciekaw jestem, co to za przedmioty? Zawahała się, zanim odpowiedziała; miał wrażenie, że wzbrania się mówić o czymś, co dotyczy jej bezpośrednio. W końcu przemogła się:

- Geografia, obyczaje ludów żyjących w różnych częściach świata, ich religie.

- Czy to naprawdę cię interesuje?

- Bardzo!

- Jestem zdumiony!

- Dlaczego?
- Ponieważ są to niezwykle tematy u kobiet.
- Chcesz powiedzieć - stwierdziła Quenella - że uważasz takie dziedziny za trudne i zbyt wyrafinowane intelektualnie dla istot niższych.
- To ty wkładasz te słowa w moje usta - zaprotestował Rex.
- Ale przecież o tym właśnie myślałeś!
- Dobrze już, zgoda - skapitulował. - Myślę, że większość kobiet jest urocza, ale ich myśli rzadko mają wyższe loty. Większość Angielek, jak sama zapewne wiesz, posiada bardzo nędzne wykształcenie.
- Ponieważ do niedawna ich rodzice wszystkie pieniądze wydawali na kształcenie cennych synów; córki pozostawiano źle opłacanym guwernantkom, które miały niewiele do przekazania swoim uczennicom.
- Rex opadł na krzesło.
- Zaskakujesz mnie!
- Bo jestem gotowa bronić tyranizowanych kobiet? Widziałam jak się je traktuje w różnych częściach świata. Myślę, że one potrzebują nie tyle obrońcy, ile przywódcy, który by je podburzył do rewolucji.
- Rex wyciągnął ręce w geście protestu.
- Teraz nie tylko mnie zaskakujesz, ale i przerażasz - powiedział. - Słyszałem o wojujących feministkach, ale w najkoszmarniejszych snach nie wyobrażałem sobie, że jedna z nich będzie moją żoną.
- Mam bardzo zdecydowane poglądy w tej sprawie!
- Im wcześniej więc nauczysz się naśladować uległość Hindusek, tym lepiej.
- Wiem, czego oczekujesz od swojej żony.
- Niezupełnie.

- Zapewne dlatego nie ożeniłeś się wcześniej - zasugerowała Quenella - choć miałaś, jak mówi lady Barnstaple, wszelkie możliwe okazje ku temu, nie znalazłaś kandydatki wystarczająco pokornej i uległej.

Rex aż zamrugał.

Rozbawiły go przypuszczenia Quenelli. Jakże były odległe od prawdy!

Gdy myślał o małżeństwie - a zdarzało się to rzadko - stwierdzał, że głupia kobieta znudzi go w ciągu kilku tygodni.

Jakiś czas potem odkrył, że Quenella była absolutnie nienasycona w swym pragnieniu wiedzy; nie tylko chciała rzeczywiście nauczyć się urdu, ale i poznać dobrze Indie.

Poprosiła ochmistrza o wszystkie książki na ten temat dostępne na pokładzie. Dziwna kolekcja sensacyjnych powieści, wielkich historycznych tomów i byle jak wydrukowanych broszurek pojawiła się w ich salonie.

- Szkoda, że nie wiedziałem o twoich zainteresowaniach przed wyjazdem z Anglii - stwierdził Rex, odrzucając przypadkowo otwartą broszurę. - W większości to zupełnie śmiecie i nie chciałbym, żebyś traciła na to czas.

- Ale to mi pomaga - przekonywała Quenella. - Pozwala poznać poglądy innych ludzi i ich punkt widzenia. Jest tu na przykład książka traktująca o Brytyjczykach jako brutalnych poganiaczach niewolników, co daje mi zupełnie nowy pogład na działalność Imperium.

- Przeczytam ją. Skąd ona pochodzi?

- Sądzę, że od kogoś z trzeciej klasy.

- Jeśli jest tak zła, jak mówisz, będę musiał tego kogoś aresztować po przybyciu.

Żartował tylko, ale Quenella potraktowała to poważnie.

- Nie wolno ci tego zrobić! Przecież prosiłam o literaturę dotyczącą Indii. Byłoby skrajną nieuczciwością wykorzystanie

tej książki przeciw komuś, kto był tak uprzejmy i spełnił moją prośbę.

- Martwiłabyś się, gdybyś jakiegoś Hindusa wpędziła w tarapaty?

- Oczywiście że tak! - wybuchnęła. - Z tego wszystkiego, co już przeczytałam i czego się nauczyłam widzę, że Anglicy zachowują się tam w bardzo władczy sposób.

- Może - zgodził się Rex. - Ale musisz pamiętać, że w całych Indiach mieszka tylko dwadzieścia tysięcy Brytyjczyków. Jeśli dodać do tego trzy tysiące brytyjskich oficerów, muszą oni utrzymać porządek w trzystumilionowym kraju. To jedna piąta rodzaju ludzkiego.

- To rzeczywiście prawda?

- W przybliżeniu.

- To fantastyczne! Dlaczego oni was stamtąd nie wyrzucają?

- Pewnie to zrobią któregoś dnia. Tego właśnie chcą Rosjanie za wszelką cenę i starają się, jak mogą, żeby maksymalnie skomplikować sprawy.

Mówiąc to pomyślał o odległych placówkach w Hindukuszu i o żołnierzach każdego dnia mogących wpaść w zasadzkę, o Afgańczykach podżegających tubylców; za tym wszystkim stali Rosjanie.

- Powiedz mi, o czym myślisz - spytała Quenella. Usiadł, gdyż pomagało mu to uporządkować myśli, i wyjaśnił jej w prosty, ale jasny sposób rolę, jaką Rosjanie odgrywali przez ostatnie dziesięć lat, nieubłaganie posuwając się na wschód i południe, wchłaniając jeden po drugim chanaty Azji Środkowej i przygotowując się do okrażenia Indii.

Quenella siedziała z szeroko otwartymi oczami, a on kontynuował:

- Zbudowali linię kolejową przez całą Syberię na Daleki Wschód i wieść niesie, na razie nie potwierdzona, o robotach

kolejowych w Turkiestanie. To może być pierwszy krok w kierunku planowanego zagarnięcia Tybetu.

Mówiąc prawie zapomniiał, że Quenella słucha. Teraz jednak ona się odezwała:

- Tybet leży niedaleko twojej prowincji, prawda? Widziałam na mapie, że południowa granica tego kraju leży za Himalajami.

Rex nie odpowiedział, a ona mówiła dalej:

- Czuję, że martwisz się Tybetem. Czy mam rację?

- Skąd wiesz?

- Wspomina o tym kilka broszurek. Słyszałam też, jak stryj Terence mówił na ten temat.

- Wiem bardzo mało o tym kraju; przez całe wieki był pod protektoratem Chin - wymigał się od odpowiedzi Rex.

- Ale sądzisz, że Rosjanie się nim interesują?

- Całkiem prawdopodobne.

- To pewnie dlatego powołano cię na gubernatora północno - zachodnich prowincji.

Pomyślał, jak bardzo jest spostrzegawcza, ale powiedział tylko:

- Postudiujemy razem jakieś książki o Tybecie. Przyznaję, iż to mnie interesuje i że bardzo mało wiadomo o całym tym kraju.

- Czy mogłabym tam pojechać?

- Obawiam się, że nie. Prawdę mówiąc, wątpię, czy biała kobieta kiedykolwiek przeszła przez pokryte śniegiem przełęcze.

- Tam właśnie chciałabym się udać - powiedziała spokojnie Quenella.

Przez kilka następnych dni zasypywała go wciąż nowymi pytaniami na temat Tybetu, aż musiał przyznać się do swej niewiedzy i uznać, że niewiele więcej może jej powiedzieć.

Quenella była zafascynowana tajemnicą tego zagadkowego kraju i Rex przyrzekł sobie, że gdy tylko dotrą do Indii, będzie musiał się o nim dużo więcej dowiedzieć.

Tymczasem Quenella fanatycznie poświęciła się nauce urdu; Rex widywał światło w jej kabinie do wczesnych godzin rannych.

Pewnej nocy przepływali przez Morze Czerwone. Ciężkie, wilgotne powietrze szczególnie dawało się we znaki. Rex wstał od swego biurka, by się rozprostować.

Widząc światło w kabinie Quenelli, poczuł nagle potrzebę, by się z nią zobaczyć i porozmawiać.

Wtedy też, po raz pierwszy od wielu dni, przypomniał sobie, że jest kobietą, jego żoną. Zapragnął jej obecności w inny niż dotychczas sposób.

Co też by powiedziała, gdyby wszedł do jej kabiny?

Mógłby usiąść na krawędzi jej łóżka, rozmawiać z nią, podyskutować o czym by tylko chciała, choć był przekonany, że oboje starannie wystrzegaliby się czegokolwiek więcej.

Przypomniał sobie, że dał słowo, iż nie będzie zabiegał o żadne względy, których mu nie zechce ofiarować, ani nigdy nie będzie domagał się swych praw mężowskich.

- Do diabła! - wymamrotał pod nosem - cała ta sytuacja jest nienaturalna. Nie możemy tak postępować przez całą resztę życia.

A jednak nieprawdopodobne, by Quenella się w nim zakochała, tak jak tyle innych kobiet!

Od czasu ich ślubu unikała wszelkiego bliższego kontaktu, operowała rękami tak, by go nie dotknąć, siadała zawsze trochę dalej niż wypadało i kiedy tylko mogła, nie pozwalała sobie podawać ani zdejmować płaszcza.

„Czuje do mnie wstręt jako do mężczyzny”, pomyślał smutno, „tak samo jak czuła wstręt do księcia”.

Wciąż słyszał jej głos, gdy mówiła, że wszyscy mężczyźni to zwierzęta. Pamiętał gwałtowność, jaka wówczas od niej biła, choć mówiła to spokojnie.

- Zwierzę! - powtórzył i wiedział dobrze, że nie zniósłby widoku Quenelli cofającej się przed nim w przerażeniu.

Wchodząc do swej kabiny, zamknął za sobą drzwi w sposób stanowiący namiastkę tupnięcia nogą.

Następnego ranka czuł się sfrustrowany, rozdrażniony i uratowała go tylko wyczerpująca gra w badmintona. Poczuł się lepiej dopiero w drugiej połowie dnia.

Kitty zauważyła dziwne stosunki między małżonkami. Z właściwą sobie przenikliwością odgadła, że w ich związku jest coś niewyraźnego.

- Co cię skłoniło do małżeństwa, Rex? - spytała pewnego wieczoru, podchodząc do niego na górnym pokładzie.

Noc była jasna od gwiazd. Fosforyzujący blask spokojnego morza wywoływał nie spotykane efekty. Była to noc wymarzona na romans; niemal w każdym zacienionym miejscu stała jakaś para. Trzymała się w objęciach lub szeptała sobie tajemne słowa miłości.

- Na swym nowym stanowisku potrzebuję żony - otrząsnął się z wrażenia Rex.

- To prawda - zgodziła się Kitty - ale choć Quenella jest taka urodziwa - to jedna z najpiękniejszych kobiet jaką kiedykolwiek widziałam - wydaje się pozbawiona specyficznego ciepła.

- Nie życzę sobie rozmawiać o Quenelli - powiedział ostrzegawczo Rex.

- Nie jestem nieuprzejma ani złośliwa - zaprotestowała Kitty - tylko po prostu ciekawa. Ona nie przypomina żadnej z twoich poprzednich miłości, a znałam ich trochę, włączając w to mnie, oczywiście.

I lękając się, że to mogło zirytować Rexa, dodała pojednawczo:

- Wiesz, że twoje szczęście nie jest mi obojętne. Ty potrzebujesz od ludzi ognia miłości i byłabym zdziwiona, gdybyś się bez tego obył.

Nie zdążył jej odpowiedzieć. Właśnie w tej chwili ich tete - a - tete (Tete - a - tete (fr.) - sam na sam.) zostało przerwane. Pewien pan w średnim wieku prześladował Kitty od czasu, gdy przepłynęli Kanał Sueski,

Rex zszedł na dół, położył się i słowa Kitty brzmiały mu w uszach.

Miała rację: ogień miłości był zawsze najważniejszy w jego poprzednich związkach z kobietami.

Nadszarpując swój umysł i siły w niebezpiecznych sytuacjach, w namiętnej pasji, którą Kitty tak trafnie nazwała ogniem miłości, osiągał ulgę i wyzwolenie.

Był bardzo płomiennym kochankiem, a teraz musiał stawić czoło nowej sytuacji; jak znajdzie satysfakcję w całym swoim życiu, skoro taka będzie nadal wola Quenelli.

Zawsze wstrętni mu byli żonaci mężczyźni folgujący swoim zachciankom w potajemnych miłostkach.

Może było w jego żyłach trochę krwi purytańskich przodków, która powodowała, że uważał to za poniżające i niegodne zasad. Ale jak można prowadzić życie mnicha w małżeństwie, które jest zwykłą komedią? Lub też, jak nazywała to Quenella, „obopólnym interesem”.

„Powinniśmy zdobyć się na rozmowę o tym”, powiedział sobie.

Bał się jednak niepokoić Quenellę, obawiał się wytrącić ją z równowagi. Osiągnęli już pewien stopień partnerstwa, które szkoda byłoby stracić.

Coś mu szeptało, że po tygodniach spędzonych na morzu Quenella zaczyna mu ufać, a może nawet trochę go lubi.

W swoim gabinecie rozmawiała z nim całkiem swobodnie, jakby nie był osobnikiem, do którego czuje odrazę. Ostatnio nawet śmiała się i żartowała na różne tematy.

Przewracając się z boku na bok w bezsenne noce powtarzał sobie z uporem: „Muszę być cierpliwy, to nie będzie łatwe”.

Gdy statek dobił do Bombaju, na pokład przybyło wielu pracowników urzędu wicekróla. Zalakowane torby z dyplomatyczną pocztą przyniesiono do kabiny i zamknięto w jednym z kufrów Rexa.

Postanowił, że powinni płynąć dalej statkiem do Kalkuty.

Alternatywą przedłużenia rejsu była podróż pociągiem w poprzek Indii, ale Rex chciał ofiarować Quenelli pierwsze wrażenia w najdziwniejszym i najbardziej atrakcyjnym mieście tego kraju.

Wobec tego w Bombaju przesiedli się natychmiast na inny statek i kontynuowali swą podróż do stolicy.

Dopiero tam Quenella uświadomiła sobie po raz pierwszy rangę stanowiska swego męża.

Kiedy wychodzili na nabrzeże, powitali ich wysocy urzędnicy w uroczystych strojach; do siedziby rządu jechali powozem wicekróla w asyście szwadronu kawalerii.

Quenellę zafascynowały kolorowe tłumy na ulicach; ludzie poruszali się niespiesznie w gorącym, wilgotnym powietrzu i przekrzykiwali w różnych językach. Rex twierdził, że w Indiach mówiło się ośmiuset językami.

Jej ekscytacja otoczeniem była niewątpliwa.

Jechali otwartym powozem. Służący wicekróla, ubrani w czerwone mundury ze złotymi epoletami, trzymali nad ich głowami olbrzymi parasol.

Na zatłoczonych ulicach Rex pokazywał jej mężczyzn z Radżastanu, brodatych Sikhów z Pendżabu, noszących ogromne miecze, z którymi nigdy się nie rozstawiali,

zręcznych, rozgadanych Bengalczyków i ludzi o skośnych mongolskich oczach, którzy zapewne przybyli z Sikhimu, Bhutanu lub Assamu.

Najbardziej zafascynowały Quenellę stroje noszone przez kobiety - sari.

Hinduski nosiły sari we wszystkich kolorach tęczy. Dopełniające strój girlandy świeżych kwiatów we włosach nadawały kobietom wygląd boginek z innej planety. W porównaniu z tym widokiem londyńskie tłumy wydawały się monotennie szare.

Także siedziba rządu okazała się imponująca. Rex nic nie przesadził w swoich opowieściach.

Pałac, zbudowany przez lorda Morningtona, starszego brata sławnego księcia Wellingtona, był symbolem brytyjskiej dominacji w Indiach.

Olbrzymie lwy wieńczyły bramy, a sfinksy z uniesionymi głowami pilnowały drzwi.

Znajdowały się tam armaty na fortecznych lawetach, wspaniali indyjscy lansjerzy przechadzali się po dziedzińcu, trzynastu adiutantów w pełnych szacunku postawach czekało na polecenia.

Ciekawostką było, że budynek ten w pierwszej wersji zbudowano na wzór Kedleston Hall w Derbyshire, rodowej siedziby lorda Curzona, obecnego wicekróla.

- Uważa się, że pewnego dnia zajmie on wysokie stanowisko na brytyjskim dworze, o czym zresztą marzy prawie każdy Anglik - rzekł Rex.

- Myślisz, że to prawda? - spytała Quenella.

- Wicekról Indii ma niewiele równych sobie w Azji - odparł. - Car Rosji i cesarz Chin znaczą niewiele więcej od niego. Szach Persji i król Syjamu zachowują się bardzo ostrożnie w jego obecności, a król Birmy jest właściwie jego więźniem.

Quenella zaśmiała się.

- Wicekról Indii jest z pewnością dumny ze swojej rangi.
- Lord Curzon tak to właśnie odczuwa - uśmiechnął się Rex. - Kiedy go poznasz zobaczysz, że to wspaniały, ale nieobliczalny człowiek. Jego pewność siebie przytłacza większość ludzi.

Lord i lady Curzon przyjęli ich z jeszcze większym ceremoniałem, niż królowa podjęła Rexa w zamku Windsor.

Przechodząc przez marmurowe salony z błyszczącymi białymi kolumnami, patrząc na wartowników we wspaniałych mundurach, stojących po obu stronach jak posągi, na ogromne kryształowe kandelabry jaśniejsze nad ich głowami, Quenella miała przedsmak pompy i ceremoniału, jakie staną się niedługo jej i Rexa udziałem.

Kiedy już formalności dobiegły końca, lord Curzon rozmawiał z nimi szczerze i jowialnie. Quenella była mile zaskoczona jego wdziękiem i niekłamany urokiem.

Szybko jednak porwał Rexa, i panie zostały w swoim towarzystwie.

Lady Curzon była wysoka i pełna godności. Ciemne, bujne włosy otaczały piękną twarz. Niebieskie oczy spoglądały na Quenellę z ujmującą życzliwością.

Była równie pewna siebie jak jej mąż, wywołując w Quenelli cień zazdrości.

Rozmowa z żoną wicekróla stanowiła dla niej prawdziwą przyjemność.

- W Indiach nadzwyczaj przydatne jest poczucie humoru - powiedziała lady Curzon. - Dzieją się tu dziwne rzeczy. Jeśli ktoś umie się śmiać, będzie patrzył na nie z przymrużeniem oka.

- Jakie to rzeczy? - zainteresowała się Quenella.

- Gdy tu po raz pierwszy przyjechałam, stwierdziłam z rozdrażnieniem, że kiedy chciałam wziąć kąpiel, jeden służący

grzał wodę, drugi przygotowywał wannę, trzeci napełniał ją, a czwarty opróżniał; każdy z nich był upoważniony do wykonywania tej jednej jedynej czynności. Wiąże się to z podziałem na kasty tego społeczeństwa.

Roześmiała się i dodała lekko:

- Jakby tego nie było dosyć, kuchnie znajdują się tu co najmniej dwieście jardów od jadalni.

Tak niezwykle poczucie humoru lady Curzon zawdzięczała swemu amerykańskiemu pochodzeniu. Każdy Brytyjczyk byłby na jej miejscu skonsternowany.

Po spędzeniu z lady Curzon około godziny Quenella uznała, że mimo wysokiej pozycji w tutejszym towarzystwie, jest to bardzo sympatyczna i skromna osoba.

- Chciałabym być podobna do pani, madame - rzekła impulsywnie - ale zdaję sobie sprawę, że to może nie być łatwe.

- Wprost przeciwnie, uważam, że w naturalny sposób wczuje się pani w rolę żony gubernatora - powiedziała lady Curzon - zarówno pani, jak i mnie tak się poszczęściło; mamy wspaniałych, mądrych mężów, na których możemy polegać i którzy mogą polegać na naszej miłości.

Powaga tego stwierdzenia spowodowała, że Quenella poczuła się trochę niezręcznie.

Jak może wyjaśnić tej przemiętej damie, która pewnie bardzo kocha swojego męża, i to z wzajemnością, że jej małżeństwo jest zupełnie inne?

I wtedy zorientowała się, że nikt w Indiach nie może nawet podejrzewać, iż ona i Rex nie stanowią tradycyjnej pary małżeńskiej.

Dziwne ich układy byłyby tylko smacznym kąskiem dla miejscowych plotkarzy, a dalsza kariera zawodowa Rexa stałaby pod znakiem zapytania.

Lady Barnstaple dała jasno do zrozumienia, że prawie żadna kobieta nie mogła się oprzeć jego urokowi; sama aż nadto chętnie chciałyby być jego żoną.

Wystąpienie w roli człowieka, któremu daje kosza własna żona, uczyniłoby z Rexa pośmiewisko.

Wówczas też, gdy spacerowała szerokimi, chłodnymi korytarzami, zakiełkowała w jej głowie inna myśl.

Przypuśćmy, że stałoby się wiadome, iż ich małżeństwo jest tylko formalnością; wówczas Rex wystąpiłby w roli łowcy posagu, którego interesują wyłącznie pieniądze, a nie jej osoba.

Quenella wystarczająco dużo przebywała w towarzystwie przyjaciół swego ojca, by wiedzieć, jakie mieliby zdanie o człowieku, który, korzystając z fortuny żony, zaniedbuje ją jako kobietę.

Rówieśnicy jej ojca często zapominali, że Quenella jest wśród nich i pilnie się przysłuchuje.

Niemal wszyscy byli bogaci, a zdobywanie pieniędzy było głównym celem ich życia. Zawsze twierdzili, że ci, którym się nie powiodło w wyścigu do fortuny są pełni zazdrości i że pieniądze mogą zdominować wszystkie inne dążenia.

„Widziałeś żonę Crowforda?“, powiedział pewnego razu przyjaciel jej ojca, „stara, tłusta krowa o wyglądzie meksykańskiej squaw! Bóg jeden wie, jak on może znieść taką pokrakę, która chodzi jak kaczka!“

„Całkiem dobrze znosi jej pieniądze!“, odparł ojciec Quenelli. „Okrągłe pięć milionów, choć ona sama niewarta nawet centa!“

I znów dodał ze śmiechem:

„Crowford zamyka oczy, kiedy jest z nią w łóżku, i zaczyna liczyć jej pieniądze. I wydaje mu się wtedy całkiem atrakcyjna“.

Słowa te powitał szyderczy śmiech kompanów. Nikt nie zauważył, że Quenella słuchała. Przypomniała sobie teraz tę rozmowę i po raz pierwszy od chwili ślubu pomyślała nie o sobie, lecz o Rexie.

„Nikt nie może tak o nim mówić”, postanowiła.

Noc spędzili w rezydencji, a wicekról wydał wystawne przyjęcie, na którym byli honorowymi gośćmi.

Na początku uroczystości zagrano hymn państwowy, a w czasie jedzenia towarzyszyła orkiestra.

Goście ustawili się szpalerem, by powitać przedstawiciela monarchii w osobie wicekróla, panie składały głęboki ukłon, gdy były mu przedstawiane.

Choć lord Curzon piastował stanowisko wicekróla stosunkowo krótko, do rezydencji wprowadzono wiele innowacji. Po raz pierwszy w swej historii dom miał elektryczne oświetlenie i także windy. W większości pokoi działała elektryczna wentylacja, choć ręczne wachlarze gdziegdzie zachowano również.

- Wolę ich miarowy ruch - rzekł lord Curzon odgadując jej myśli - niż te anachronicznie obracające się łopatki.

Quenella włożyła do obiadu jedną z najwspanialszych sukien ze swej ślubnej wyprawy. Gdy pokojówka przyniosła jej szkatułkę z biżuterią, zawahała się, który z przepięknych klejnotów odziedziczonych po matce i ofiarowanych przez ojca powinna założyć. Uświadomiła sobie, że nie ma tu ciotki Emily, a za nic w świecie nie chciała popełnić gafy na swym pierwszym publicznym wystąpieniu.

Sypialnie Quenelli i Rexa miały połączenie; oprócz tego mieli salon do wspólnego prywatnego użytku.

Przez chwilę miała zamiar zadzwonić na pokojówkę, by poprosiła jej męża z salonu. Potem uznała, że nie będzie to wyglądało najzręczniejsz.

Z pewną nieśmiałością podeszła do drzwi łączących sypialnię i zapukała.

Przez chwile nie było odpowiedzi i gdy już miała zapukać ponownie, usłyszała głos Rexa:

- Proszę!

Otworzyła drzwi i ujrawszy jego zaskoczenie poznała, że spodziewał się ujrzeć służącego.

Był już całkiem ubrany; miał na sobie wykrochmaloną koszulę z wysokim kołnierzykiem i sztywnymi mankietami. Nie miał tylko jeszcze fraka.

Było coś nieuchwytnie atrakcyjnego w jego wyglądzie: biała koszula, czarne atlasowe spodnie do kolan. Szczupłe nogi Rexa były obleczone czarnymi jedwabnymi pończochami.

Wyglądał jak żywcem wyjęty z książkowej ilustracji, zuchowaty, nieco prostacki mężczyzna szykuje się do pojedynku. „Nigdy przedtem”, pomyślała Quenella, „nie zwróciłam uwagi na te jego cechy”.

Nic więcej nie powiedział, zaczęła więc trochę bezładnie:

- Ja... potrzebuję twojej... rady.

- Ależ oczywiście - odparł Rex. - W czym ci mogę pomóc?

- Nie wiem... jaka biżuteria będzie odpowiednia na dzisiejszy wieczór.

- Jestem pewien, że łatwo rozwiążemy ten problem. Zaraz przyjdę ci pomóc.

- Tak... oczywiście.

Poszedł za Quenellą do jej sypialni i spojrzał na dużą otwartą szkatułkę na krześle obok toaletki.

Taktowna pokojówka wycofała się drugimi drzwiami i zostali sami. W jednej chwili Quenella uświadomiła sobie, że w sypialni jest wielkie łóżce z moskitierą okrywającą je jak ślubny welon.

Czuła, że zaczyna ogarniać ją panika. Była z mężczyzną w sypialni, a ostatnim razem...

- Niech zobaczę, co tutaj masz.

Spokojny głos Rexa przerwał tok jej myśli; zajrzał do szkatułki, odsłaniając klejnoty: naszyjniki, a pod nimi diademy z identycznymi kamieniami.

- To imponująca kolekcja - stwierdził wydymając w zachwycie wargi.

Potem odwrócił się i spojrzał na swą żonę w sposób ostentacyjnie obojętny.

Miała na sobie szyfonową suknię z koronkami naszytymi na spódnice. Wydawała szelest przy każdym ruchu. Toaletę zaprojektowano specjalnie dla Quenelli w czasie jej pobytu w Paryżu. Wykonano ją w pracowni słynnego Wortha, który - jak się już dowiedziała - był twórcą większości sukien żony wicekróla.

Jak przystało na młodą mężatkę, suknia była biała. Odznaczała się prostotą i szykiem, który Rex - znawca kobiet - dostrzegł i docenił.

- Na dzisiejszy wieczór pasują brylanty - powiedział po namyśle. - Wszyscy oczekują, że będziesz wyglądała młodo i weselnie, ale jednocześnie powinnaś błyszczeć. Na pewno ci się uda i wszyscy będą zachwyceni twoim widokiem - dodał z uśmiechem.

- Sądzisz, że naprawdę tak będzie?

- Wywołasz też dużo kobiecej zazdrości, niechęci i złości, ale to już jest wkalkulowane ryzyko.

Quenella słuchała, więc mówił dalej:

- Jeśli się ubierzesz źle, uznają to za uchybienie i poczują się obrażeni. Jeśli wyglądasz jak wróżka z choinki bożonarodzeniowej, zaciskają zęby i z chęcią by cię unicestwili. Quenella zaśmiała się szczerze.

- Opiszujesz to jak walkę!

- Bo to jest właśnie walka o najwyższą pozycję. Dziś wieczorem jesteś na drugim miejscu w dworskiej hierarchii, ale gdy dotrzemy do Lucknow, będziesz na pierwszym.

- Już się denerwuję.

- Załóż na szyję ten brylantowy drobiazg - powiedział wskazując naszyjnik - i pokaż wszystkim, że mogą swoje uwagi zachować dla siebie. Nie jest ważne, co ludzie myślą, liczy się tylko to, co powiedzą ci w oczy.

- Czy to twoje credo? - zażartowała Quenella.

- Nigdy nie sprawiam wrogom satysfakcji, poświęcając im swoje myśli - odpowiedział sentencjonalnie.

Wyjął ze szkatułki brylantowy diadem, należący niegdyś do matki Quenelli.

- Czy chcesz, abym pomógł ci go założyć?

- Moja pokojówka to zrobi - szybko odparła Quenella.

- Oczywiście - zgodził się Rex. - Zaczekam w salonie, aż będziesz gotowa.

Wyszedł przez drzwi łączące pokoje, a Quenella stała przez chwilę z diademem w dłoniach i patrzyła za odchodzącym.

„Mogłam mu pozwolić sobie pomóc”, żałowała w duchu.

I oczekiwała na dreszcz obrzydzenia, który zwykle takim myślom towarzyszył.

Ku jej zaskoczeniu nic takiego się nie zdarzyło.

Rozdział 5

To bardzo ekscytujące! - zawołała Quenella.

- Masz na myśli pociąg? - spytał Rex, który siedział naprzeciw niej.

- Nie, to, że mogę oglądać krajobrazy. Czekałam na to z niecierpliwością.

Podróżowali na północny zachód do Lucknow; wicekról w niezwykłym geście uprzejmości udostępnił im dwa wagony ze swego pociągu.

Był to pociąg specjalny, zbudowany dla księcia Walii w 1875 roku, i jego żywot dobiegał już kresu. Składał się z dwunastu złoto - kremowych wagonów ciągnionych przez dwie lokomotywy. Kiedy wicekról udawał się tym pociągiem w podróż, towarzyszyli mu cywilni i wojskowi sekretarze, dwaj lekarze i około stu innych osób.

Jedna lokomotywa, pilotująca, jechała przodem, a tor na całej długości strzeżony był przez wojsko z okolicznych miejscowości.

A teraz dwa królewskie wagony doczepiono do zwykłego pociągu pasażerskiego, co było znaczącym dowodem uznania dla Rexa i jego stanowiska.

Zgiełk na indyjskich stacjach kolejowych nie był dla Rexa nowością, ale Quenelli tłumy na Howrah wydawały się fascynującym zjawiskiem.

Rodziny koczowały na peronach, śpiąc, gotując i jedząc. Trwały tak w oczekiwaniu na jakieś wolne miejsca i możliwość wciśnięcia się do zatłoczonego wagonu trzeciej klasy.

Słysząc było nawoływania nosiwodów, gazeciarzy, sprzedawców ryżu i słodczy, kelnerów roznoszących herbatę; wszyscy rozpychali się i wrzeszczeli, a ich głosy mieszały się z płaczem dzieci, krzykami tragarzy i gwizdem lokomotyw.

Było to istne pandemonium.

- A mimo to pociągi jeżdżą o czasie - zauważył Rex.

Każda z dwudziestu czterech godzin doby jest dla ludzi Wschodu taka sama, i rozkład jazdy pociągów w pełni to odzwierciedlał.

Rexa i Quenellę odprowadzało wielu wyższych urzędników i osobista służba wicekróla w czerwono - złotych mundurach.

W czasie drogi do swych strzeżonych przez wartowników wagonów słyszeli głośnie utarczki między podróżującymi Hindusami a europejską obsługą pociągu.

Rex wyjaśnił Quenelli, że Hindusi nie chcą, by kasowano ich bilety, gdyż myślą, że przedziurawienie kawałków papieru odbierze ich magiczną moc.

Rozbawiło to najwyraźniej Quenellę. Nadszedł wartownik i spytał, czy Rex wyraża zgodę na ruszenie pociągu.

- Czy zawsze się tak dzieje? - spytała.

- Zawsze, kiedy pociąg wiezie jakiegoś ważnego Anglika - odparł.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby coś takiego wydarzyło się w Anglii lub gdziekolwiek w zachodnim świecie.

- W Indiach Brytyjczycy są rasą zdobywców i powinni być traktowani z należyтым respektem - odpowiedział.

Zorientowała się, że sobie z niej kpi.

Lokomotywa, która ruszała w kłębach pary, buchala i gwizdała, a kiedy już znaleźli się dalej od Kalkuty, Quenella mogła oglądać przez okno, zgodnie ze swoim życzeniem, różnorodne oblicza kraju.

Zaraz za miastem krajobraz był płaski i bagnisty. Widać było pracujące na polach białe woły i wodne bawoły przy zbiornikach wody znajdujących się w każdej wiosce.

Zdarzały się też sylwetki wielbłądów na tle bezchmurnego nieba.

- Wyobrażałam sobie, że tak właśnie powinny wyglądać Indie - powiedziała po chwili, jakby do siebie.

- Dlaczego?

Zawahała się, dobierając właściwych słów. Potem, jakby nie mogła powstrzymać się od wyznania prawdy, rzekła:

- To jak powrót do domu. Spojrzał zaskoczony, a potem spytał:

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo jakoś tak to czuję. Zawsze chciałam pojechać na Wschód. Indie przyciągały mnie.

Spojrzał z niedowierzaniem, więc próbowała wyjaśnić:

- Kiedy zagłębiłam się w książkach, które mi dałeś, wydawało mi się, że czytałam je wcześniej, a ich treść jakby we mnie tkwiła.

Uczyliła nieznaczny gest dłonią, a potem dodała:

- Pewnie nie rozumiesz, ale trudno mi to wyrazić słowami.

- Rozumiem - odparł. - I to samo czuję; zawsze odczuwałem, że tu przynależę.

Oczy Quenelli poszukały twarzy Rexa, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

Znów odwróciła wzrok, spoglądając na mijany krajobraz.

Wieczorem poszła do swego sypialnego przedziału odpocząć.

- Czy dostaliśmy wagony, których wicekról używa osobiście? - zapytała wcześniej Rexa.

- Nie - odpowiedział - wagon wicekróla składa się z sypialni, salonu i łazienki; lady Curzon ma dla siebie inny wagon. Te, z których korzystamy, służą towarzyszącym im najważniejszym gościom.

Przedziały były tu dość małe i musieli dzielić jeden wagon. Były w nim wszelkie wygody, piękne meble, a Quenella dowiedziała się od pokojówki, że gorącą wodę na

kąpiel obsługa pobiera w określonych miejscach, gdzie grzeją ją w wielkich cysternach.

Pomyślała z przyjemnością o perspektywie kąpieli. Było bardzo gorąco. Rozebrała się i położyła na wygodnym łóżku, myśląc cały czas o Indiach.

Na myśl o przybyciu do Lucknow przenikało ją dziwne podniecenie.

Miesiąc temu nie wyobrażała sobie nawet, że wyjdzie za mąż i osiągnie ważną pozycję w kraju, który wyzwalał w niej tak dziwne odczucia, jak żaden inny poprzednio.

Nie ma wątpliwości, że tu jednak są. Quenella zaczęła rozmyślać o podziale na kasty i różnych religiach. Ten gęsto zaludniony kraj nawet bez udziału Brytyjczyków nosi w sobie znamiona potęgi.

Granica biegła od Zatoki Bengalskiej do Pamiru i dalej do Karaczi. Wybrzeże morskie miało trzy tysiące mil. Jedna dziesiąta handlu całego brytyjskiego imperium przechodziła przez porty Indii.

Było to fascynujące i kojarzyło się Quenelli z robionymi na amerykańskich wsiach patchworkowymi narzutami. Maleńkie kawałeczki jaskrawych materiałów tworzyły zawile wzory.

Kąpiel sprawiła jej dużą przyjemność i wołała nie myśleć, ile pracy wymagało jej przygotowanie. Potem włożyła jedną z eleganckich, luźnych sukni popołudniowych, które właśnie weszły w modę wśród wytwornych londyńskich dam. Były to stroje na popołudniowe godziny odpoczynku, po herbacie, przed włożeniem bardziej wyszukanej toalety do obiadu.

Zwykle nosiły je panie, które podejmowały księcia Walii. Dama, którą zaszczycał swoją wizytą, przyjmowała go leżąc na wyłożonej poduszkami kanapce, przy zaciągniętych zasłonach i w pokoju pełnym zapachu drogich perfum.

O tych herbatkach krążyło wiele plotek, zwłaszcza jeśli następca tronu był jedynym gościem, a piękna i ponętna gospodyni przyciągała jego skorą do takich poczynąń uwagę.

Choć panie, które nie dostały tego zaszczytu, próbowały bojkotować nową modę, popołudniowe suknie były tak wygodne, że po prostu musiały się przyjąć.

Poza tym któraż kobieta mogła się oprzeć pokusie, aby zdjąć ciasno zasznurowany gorset i swobodnie oddychać choć przez dwie godziny?

Popołudniowa suknia Quenelli była uszyta z przepięknego bladofiołkowego szyfonu, który fałdami opadał na jej stopy; do tego założyła długi naszyjnik z jasnych ametystów przetykanych brylantami.

Gdy weszła do salonu, Rex wstał na jej powitanie. Pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej; inny też miała niż zazwyczaj wyraz twarzy.

Bał się przyznać, ale miał wrażenie, że część jej rezerwy i lodowej skorupy zaczyna topnieć, a na to miejsce pojawia się niewidoczna dotąd żarliwość.

- Chcę cię spytać o tyle rzeczy - powiedziała. Usiadła w fotelu obok stołu, przy którym jadali, i natychmiast zaczęła zadawać pytania na temat Wisznu, Stwórcy Wszechświata. Rex jął cytować Wisznu:

Ja jestem jaźnią w skrytości serc wszystkich narodzonych

Ja jestem początkiem, środkiem i końcem wszelkiego stworzenia...

U siłuję to zrozumieć - mruknęła Quenella.

- Najważniejszym wcieleniem Wisznu był Kriszna - powiedział Rex.

Quenella milczała, więc kontynuował:

- Kriszna jest oczywiście hinduskim uosobieniem ludzkiej miłości. Dziewczęta myślą o nim jako o idealnym mężczyźnie

i kochanku; w dużej mierze sztuka Indii jest inspirowana jego postacią.

Przez chwilę wydawało mu się, że Quenella - uznając temat miłości za zbyt krępujący - zacznie mówić o czym innym, ale, o dziwo, stwierdziła refleksyjnie:

- Kriszna jest bogiem tańczącym, zwykle wyobrażano go grającego na flecie.

- Tak - potwierdził Rex.

- W twoich książkach czytałam, że jego kult jest żarliwy.

- Myślę, że wszyscy szukają miłości. Milczała krótką chwilę, a potem podjęła:

- Kriszna, oczywiście, uosabia miłość idealną. Czy kiedykolwiek ktoś takową znalazł?

- Tego właśnie szukają wszystkie ludzkie istoty, ideału ukrytego na dnie serca.

- Czy to właśnie chciałbyś znaleźć? - spytała Quenella.

Wiedział z jakim trudem przyszło jej sformułowanie tego pytania i rozmyślnie rzekł obojętnym tonem:

- Oczywiście. Niczym się nie różnię od innych. Nie ustawałem w poszukiwaniach miłości, tak jasno wyrażonej w księgach sanskryckich. Cały czas miałem nadzieję, że w końcu Kriszna przywiedzie mi kobietę moich marzeń.

Poczuł, że to, co powiedział, poruszyło Quenellę; przez dłuższą chwilę milczała, a potem mruknęła:

- Ja... też marzyłam.

- Nie byłabyś chyba ludzką istotą - wpadł jej w słowo Rex - gdybyś nigdy nie wyobrażała sobie, że pewnego dnia marzenia się ziszczą i znajdziesz księcia z bajki, i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

- To tylko bajka...

- Ale tak się zdarza.

- Wiemy już, że to się nie może zdarzyć nam. Zanim zdążył odpowiedzieć, szybko dodała:

- To może się przydarzyć... tobie. W końcu lady Barnstaple powiedziała...

- Myślę, że jesteś świadoma - przerwał Rex - iż rozmawiamy o zupełnie innym rodzaju miłości niż ta, o której świergotała lady Barnstaple, i która jest zwykłą pożywką dla plotkarzy.

- Jesteś całkiem pewien, że o innym?

- Absolutnie pewien! - odparł Rex. - Flirty i łamiące serca rozstania stanowią nieodłączną część dojrzewania mężczyzny i kobiety, ale są tylko cieniem prawdziwych wartości.

Jej oczy zalśniły, a Rex ciągnął:

- Przypomina to podgórze Himalajów, które - jak sama zobaczysz - jest bardzo piękne. Ale kiedy już ktoś tam się znajdzie, zaczyna w całej pełni rozumieć, że wyżej, poza zasięgiem ludzkiego oka, leżą niebotyczne szczyty, których dziewicze śniegi rzucają wyzwanie każdemu.

- Rozumiem, o czym mówisz - odrzekła półgłosem Quenella - ale nikt jeszcze nie wstąpił na najwyższy szczyt Himalajów.

- To tylko metafora, ale jeśli więcej będziesz czytać, bardziej poznawać ludzką naturę, zrozumiesz, że są tacy, którzy osiągają rzeczy nieosiągalne.

Wyraz twarzy Quenelli wyrażał właśnie takie pragnienie. Patrząc na nią poprzez stół pomyślał, że większość znanych mu kobiet była zupełnie zadowolona z podgórze i nie miała zamiaru wspinać się na szczyty.

Gdy skończyli obiad, Quenella wstała.

- To był długi dzień i wczoraj późno poszliśmy spać. Oboje rozsądnie zrobimy, kładąc się dziś wcześniej.

- Jeszcze trochę popracuję, ale mam nadzieję, że będziesz dobrze spała.

- Zwykle śpię dobrze w pociągu - powiedziała Quenella. - Ruch kół i ich równomierny stukot sprzyjają dobremu usypianiu.

- Więc dobranoc, Quenello. Jutrzejszy dzień będzie z pewnością interesujący.

- Jestem tego pewna.

Przemknęła z gracją przez drzwi do sypialnego przedziału.

Rex patrzył za nią, a potem - choć otworzył teczkę - z trudem zasiadł do papierów, którym musiał poświęcić swój czas i uwagę.

„Z pewnością Quenella jest inna”, powtarzał w duchu, „inna niż ta odpychająca, lodowata istota, z którą się ożeniłem, która kamieniała ze strachu i zastygała w nienawiści na sam mój widok”.

Dziś wieczorem Quenella była wyraźnie odprężona. Miał wrażenie, choć nie pewność, że kiedy rozmawiali o miłości, jej myśli nie od razu skierowały się w stronę księcia.

Może głęboko tłumione przerażenie wywołane brutalnością księcia powoli ustępowało?

Indie wywołały ten cud zapomnienia!

„Niezwykłe jest jednak to”, myślał Rex, „że Quenella odczuwa «przynależność» do Indii”.

Te same słowa w ustach innej kobiety wywołałyby podejrzenie, że celowo chce zwrócić na siebie jego uwagę lub w bardziej wyrafinowany sposób pragnie mu się przypodobać.

Quenella mówiła to tak, że od razu wiedział, iż z jej ust płyną słowa prawdy.

W przeciwieństwie do Kitty i innych kobiet, które znał przelotnie, Quenella nawet w najmniejszy sposób nie starała się zwrócić jego uwagi czy go kokietować.

„Cokolwiek czuje do mnie”, powiedział do siebie, „jest dla mnie interesującym zjawiskiem nie tylko jako kobieta, ale przede wszystkim ludzka istota”.

W swoim przedziale Quenella poleciła pokojówce, aby pomogła jej się rozebrać, i włożyła atrakcyjną koszulkę nocną z muślinu, obszytą koronką.

Muślin, choć bardzo cienki, i tak krępował jej ruchy. W przedziale panował przytłaczający upał i elektryczny wiatrak nie nadążał wymieniać powietrza.

W tym momencie pomyślała ze współczuciem o pasażerach trzeciej klasy; stłoczeni jak sardynki w dusznych przedziałach nawet nie mogli marzyć o spaniu.

- Nic nie sprawia w życiu większej radości - przypomniała sobie słowa ojca - niż drobne przyjemności na co dzień.

Leżąc w wygodnym łóżku, z miękkimi poduszkami pod plecami, pomyślała, iż nie da się ukryć, że to duża przyjemność.

O tyle jeszcze rzeczy chciała spytać Rexa, ale bała się go zanudzać; i tak wykazał wyjątkową uprzejmość ucząc ją urdu w czasie ich morskiej podróży.

Choć - jak sądziła - lekcje te już się skończyły i choć może zatrudnić wielu innych nauczycieli, żaden z pewnością nie potrafi uczynić wszystkiego tak interesującym.

Osoba Rexa sprawiała też, że każda lekcja przynosiła jakiś osobisty i serdeczny wątek.

Nocami powtarzała sobie wszystko, o czym rozmawiali w ciągu dnia. Nagle uświadomiła sobie, że przestała się lękać swojego nauczyciela. Przestała się go bać, choć był z krwi i kości mężczyzną.

"Tata powiedziałby, że mam dużo szczęścia wychodząc za Rexa", skomentowała w duchu swoje przemyślenia.

Nagle, przez moment, wykrzywiona grymasem twarz księcia przemknęła w mrokach przedziału.

Chwilę później miała wrażenie, że Kriszna, bóg miłości, ma ją w swojej pieczy.

Widziała jego szczupłą postać, niezwykle wdzięk dłoni trzymających flet, uśmiech jego warg.

Kriszna, bóg miłości!

Gdy ta wizja pojawiła się w umyśle Quenelli, prawie podświadomie zaczęła się modlić:

- Daj mi miłość, Kriszno! O, Panie, ześlij na mnie miłość!

Quenella obudziła się z głębokiego snu w chwili, gdy pociąg wtoczył się na stację. Na peronie panował zwykły gwar.

Służąca zaciągnęła ciemne zasłony i Quenella wiedziała, że w chwili, gdy pociąg się zatrzyma, żołnierze towarzyszący jako ochrona rozstawią się przed ich wagonem.

Przeraźliwy hałas stawał się coraz bardziej dojmujący i wydało się jej, że kilku mężczyzn krzyczy głośniejszym głosem niż inni.

Chciała wyrzucić przez okno, ale wiedziała, że nie powinna podnosić zasłon. Wstała z łóżka i przeszła w drugi koniec wagonu.

W czasie podróży nie otwierano okien, gdyż kurz wdzierał się do środka i grubą warstwą osiadał na wszystkim.

Pomyślała, że warto choć przez kilka chwil pooddychać powietrzem innym niż bezustannie wprowadzane w ruch przez elektryczny wiatrak.

Podniosła żaluzję, otworzyła najpierw kratę, a potem szybę okienną. Po drugiej stronie torów można było dostrzec peron, na którym nic się nie działo; stały tam tylko sterty bagaży i kilka ciemnych ciał zwiniętych jak dywany - wiedziała, że to śpiący ludzie.

Podniosła oczy i ujrzała gwiazdy migoczące wysoko na niebie.

Powietrze było duszne i choć oddychała głęboko, czuła, że upał ją dusi.

Wtem usłyszała szept dobiegający z dołu wagonu; ktoś powiedział po angielsku:

- Proszę otworzyć drzwi! Na miłość boską, otworzyć drzwi!

Zerknęła w dół, ale nic nie dało się dostrzec prócz ciemności.

Pomyślała, że się przesłyszała. Wówczas znów to nastąpiło:

- Proszę otworzyć drzwi, błagam! Szybko! Nie ma czasu!

Ponieważ człowiek mówił po angielsku, Quenella bez zastanowienia zrobiła, o co ją proszono; podniosła zapadkę, w jakie są wyposażone wszystkie indyjskie wagony.

Wtedy jakaś postać wcisnęła się do przedziału.

Nocna lampka przy łóżku była tu jedynym światłem, a i ona była przysłonięta grubym zielonym abażurem. Przez chwilę trudno było dojrzeć postać przybysza.

Wiedziała tylko, że to mężczyzna, który otworzył drzwi i zaciągnął żaluzje jednym szybkim ruchem.

Odwrócił się do Quenelli, która patrzyła na niego z przerażeniem.

Miał ciemną karnację, z ciętej rany na twarzy sączyła się krew. Niesamowicie brudne ubranie było podarte i przesiąknięte krwią.

Próbowała krzyczeć, ale szok i przerażenie odebrały jej głos.

Nagle człowiek zatoczył się, zgiął dziwnie i upadł bezwładnie u jej stóp.

Wiedziała, że musi zacząć krzyczeć, ale zanim to zrobiła, wybełkotał:

- Daviot... sprowadź... Daviota!

Choć był niewątpliwie Hindusem, nadal mówił po angielsku, Quenella powstrzymała się więc od wezwania strażników.

Spojrzała na mężczyznę leżącego na podłodze i dostrzegła krew wypływającą z jego boku i wsiąkającą w dywan.

Miał zamknięte oczy, zaciśnięte wargi, ale jeszcze raz wyszeptał z trudem:

- Daviot!

Trzęsąc się tak gwałtownie, że z trudem udało się jej otworzyć drzwi do salonu, Quenella weszła i zastała pomieszczenie pogrążone w ciemnościach.

Kierując się światłem spomiędzy żaluzji, bosy podreptała w stronę drzwi do przedziału Rexa.

Była przerażona i otumaniona, więc nie zapukała.

Nocna lampka oświetlała łóżko, a Rex spał w otoczeniu swoich dokumentów.

Był rozebrany do pasa, ale wiedziała, że po prostu tak jak ona usiłuje poradzić sobie z uciążliwym upałem.

Nie miała czasu myśleć o niczym, nawet o tym, że po raz pierwszy widzi swego męża bez ubrania.

- Rex!

Głos uwiązał jej w gardle i oczywiste było, że jej nie usłyszał.

Nie myśląc o tym, co robi, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Rex! - powtórzyła.

Spał głębokim snem zmęczonego człowieka, ale otworzył oczy i natychmiast oprzytomniał; to cecha ludzi narażonych bez przerwy na niebezpieczeństwo.

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem. Potem wykrzyknął:

- Quenella!

- Jakiś... jakiś... człowiek jest... w moim przedziale.

- Człowiek?

Rex gwałtownie usiadł i Quenelli wydało się, że już miał zawołać straż.

- Pytał o ciebie po nazwisku - rzekła. - On jest ranny, krwawi.

Rex bez słowa wyskoczył z łóżka i zawiązując przepaskę, którą miał na biodrach, wpadł do salonu, potem do przedziału Quenelli. Ona podążała za nim.

Mężczyzna leżał tam gdzie przedtem i pomyślała, że chyba nie żyje; pomimo ciemnej skóry twarz miał bladą, bez kropli krwi, a wargi prawie białe.

Rex ukląkł przy nim

- Kim jesteś? - zapytał cicho.

- E.17... sir... już mnie prawie mieli!

Słowa z trudem wydobywały się spomiędzy jego warg. Podtrzymując jedną ręką głowę mężczyzny, Rex spojrzał na Quenellę.

- Na stole obok mego łóżka znajdziesz apteczkę. Quenella pobiegła po nią i kiedy wróciła, Rex zdążył już podłożyć poduszkę pod głowę mężczyzny i zedrzeć z niego do pasa poszarpaną odzież.

Teraz było widoczne, że krwawi z rany zadanej mu nożem pod żebra, a krew z rozciętego policzka spływa mu na piersi.

- Potrzebuję wody! - powiedział Rex - ale najpierw otwórz apteczkę.

Quenella zrobiła, co jej kazał, potem przyniosła w miednicy trochę wody i gąbkę z łazienki.

- Ręczniki! Ile tylko znajdziesz! - rozkazał Rex. - Mam ich jeszcze trochę w moim przedziale.

Kiedy wróciła z ręcznikami, oczy przybysza były otwarte i dostrzegła, że Rex daje mu coś do połknięcia. Zaczął cicho mówić.

- Przykro mi, sir. Wytropili mnie wczoraj... uciekłem i... przyjechałem tu wozem... w bawoły... ale byli na stacji.

Mówił z wielkim trudem, ale to, co mu zaaplikował Rex, najwidoczniej zaczęło już działać, kontynuował więc trochę wyraźniej:

- Mam wiadomość, którą muszę dać B.29... w Delhi.

- Dopilnuję, żeby dostał. Gdzie to jest schowane?

- We włosach.

Rex rozwiązał brudny turban i kruczoczarne, jakby farbowane, włosy mężczyzny, choć nie nazbyt długie, opadły na zakrwawione policzki.

Quenella zobaczyła, że Rex wyciąga spomiędzy nich małą kartkę papieru i chowa w swojej przepasce na biodrach. Potem powiedział do mężczyzny:

- Musisz wyjść z pociągu. Będą podejrzewać, że możesz tu być.

- To... nie ma znaczenia... sir... kiedy już... masz wiadomość.

- Oczywiście że ma znaczenie - rzekł Rex. - Wielkiej Gry nie stać na stratę ani jednego człowieka.

- Nie, sir... ale panu nie wolno wplątać się w moją sprawę.

- Nie mam takiego zamiaru!

Quenella z przerażeniem popatrzyła na Rexa.

Chyba nie ma zamiaru zostawić własnemu losowi tego krwawiącego i skrajnie wyczerpanego człowieka, skoro na zewnątrz czyhają jego wrogowie, którzy na pewno chcą go zabić?

I wtedy zobaczyła, że jej mąż się uśmiecha.

- Lepiej zmieńmy trochę twój wygląd. Usiądź, proszę. Mężczyzna odpowiedział słabym uśmiechem.

- Już mi dużo lepiej. Ile opium... dał mi pan?

- Wystarczająco, żeby uśmierzyć ból - odparł Rex. - Kiedy ostatni raz jadłeś?

- Dwa, a może trzy dni temu, trudno mi sobie przypomnieć.

Rex spojrzał na Quenellę.

- Nie możemy teraz nic zamówić - rzekł - ale może coś zostało na bocznym stoliku.

- Pójdę i zobaczę - odparła Quenella.

Weszła do salonu, zapaliła jedną z bocznych lampek i zaczęła szukać.

Był tam stół, na którym kelnerzy stawiali jedzenie, kiedy podawali im obiad. Z wyjątkiem białego obrusa nic na nim jednak nie było.

Wtem, gdy pociąg się zakołysał, zobaczyła, że gruba pajda chleba leży na podłodze.

Podniosła tę kromkę.

Na pewno zjedzenie jej nie będzie miało nic wspólnego z higieną, ale to już było jakieś wyjście.

Gdy zaniósła chleb Rexowi, ujrzała, że wykazując duże doświadczenie bandażuje ranę w boku mężczyzny.

- Jak tylko będziesz mógł, musisz pójść do lekarza, żeby ci to zszył - powiedział.

- Jest pewien doktor, który mi pomoże, jeśli dotrę do następnego miasta.

- Poradzisz z tym sobie - orzekł pewnym głosem Rex.

- To wszystko, co znalazłam - rzekła Quenella podając mężczyźnie kawałek chleba. Wziął go od niej i zjadł łapczywie jak głodny pies.

- Przypomniałem sobie, że mam trochę czekolady w neseserze - powiedział Rex - i przynieś mi przy okazji moje brzytwy.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem, ale bez wahania wykonała polecenie.

Brzytwy były w eleganckim skórzanym pokrowcu, a czekolada w charakterystycznym pakiecie, jakie dostają żołnierze w czasie manewrów.

Wróciła z tym do przedziału i wchodząc ujrzała ze zdziwieniem, że Rex obcina mężczyźnie włosy nożyczkami z apteczki.

Garście włosów leżały dookoła na podłodze.

- Będiesz teraz buddyjskim mnichem - stwierdził Rex. - Nikt nie śmie dotknąć świętego męża, a nakrycie na moim łóżku ma prawie taki kolor, jak należy.

Tym razem Quenella nie czekała na polecenie i sama wróciła do sypialni Rexa. Znalazła złotożółtą narzutę i położyła ją na swoim łóżku.

Mężczyzna pochłaniał teraz czekoladę prawie tak samo szybko, jak przedtem zjadł chleb.

Rex tymczasem golił mu głowę, która za chwilę była łysa jak u buddyjskich mnichów, którzy przechadzali się w żółtych szatach wśród tłumów na ulicach Kalkuty.

- Dobrej farby używasz - stwierdził Rex pracując zawzięcie.

- Jest taka jedna godna polecenia - odparł E.17 - ale użyłem jej więcej niż zwykle. Usunąć ją to piekielna robota.

- Kiedy masz wracać? - wypytywał Rex.

- Za dwa tygodnie. Oficer dyżurny to wyrozumiały człowiek. Nie wiem, kto mógł mnie rozpoznać... ale czy to kiedykolwiek wiadomo?

- To prawda! - przytaknął Rex.

Skończył golić głowę mężczyzny; wyglądał teraz zupełnie inaczej niż człowiek, który wtargnął do przedziału Quenelli.

Rex posmarował mu twarz odrobiną maści, która powstrzymała krwawienie, a opium rozszerzyło źrenice, nadając twarzy odmienny wyraz.

- Sprawdź, czy możesz ustać na nogach - polecił Rex.

Choć Rex jej tego nie sugerował, Quenella wycofała się do salonu. Po kilku minutach wszedł Rex.

- Mamy jeszcze cztery minuty do odjazdu - powiedział - nie powinniśmy się zbytnio śpieszyć.

Nie mogła się doczekać, by zasypać go pytaniami, ale wiedziała, że na razie jest zbyt zajęty.

Wrócił ze swego przedziału z pieniędzmi w dłoni; nie mogąc powstrzymać ciekawości, poszła za nim do swego przedziału.

Mężczyzna, którego ocaliła, stał na własnych nogach i z pewnością był nie do rozpoznania.

Przez ramię miał przerzuconą żółtą narzutę. Ogolona co do włoska głowa powodowała, że wyglądał na dobrotliwego, schludnego kapłana wyznawców Buddy.

Rex wręczył mu pieniądze i kilka tabletek, o których Quenella wiedziała, że zawierają opium.

- Używaj ich oszczędnie - powiedział - one podtrzymają twoje siły aż do chwili, kiedy będziesz bezpieczny.

Rozejrzawszy się po przedziale Quenelli, dostrzegł na toaletce małą, srebrną miseczkę z ziołowymi pachnidłami. Opróżnił ją i podał agentowi E.17.

- Oto twoja żebracza miska! Mężczyzna prawie się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że jeśli dotrę do pana, sir, będę uratowany.

- „Nigdy nie sądz, że podróż się skończyła zanim dotrzesz do domu” - w odpowiedzi Rex zacytował indyjskie przysłowie.

Mężczyzna spojrział na Quenellę.

- Dziękuję, madame. Mam nadzieję, że nie bardzo panią przeraziłem, ale kiedy zobaczyłem ją wyglądającą przez okno, wiedziałem, że to moja jedyna nadzieja.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - odparła Quenella.

- Powinieneś już iść! - powiedział Rex. Podniósł żaluzję i zamknął drzwi do przedziału. Potem

wychylił się od niechcienia, jakby chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. Najpierw spojrział na niebo, potem rozejrział się w prawo i w lewo i otworzył drzwi.

- Niech cię bogowie błogosławią! - powiedział E.17, mijając Quenellę w przejściu.

Bardzo ostrożnie opuścił się na szyny, jakby się bał, że rana może zacząć krwawić, potem ruszył przez tory w ciemność, by wspiąć się na przeciwległy peron.

Przez chwilę wydawało się, że się zawahał, ale zaraz się skulił i położył obok innych postaci śpiących na peronie.

- To bardzo mądrze z jego strony - wyszeptał Rex.

- Dlaczego nie odszedł stąd od razu? - zapytała Quenella.

- Ponieważ - odparł - ci, którzy go szukają obserwują wyjścia i przez kilka następnych godzin będą się przyglądać każdemu, kto wychodzi ze stacji.

- Oczywiście! Rozumiem! - wykrzyknęła Quenella. Spojrzała na stojącego obok niej Rexa i spytała:

- Co zrobisz z tą wiadomością, którą ci przekazał? W jaki sposób ją prześlesz temu człowiekowi w Delhi?

- Jaką wiadomością... jakiemu człowiekowi? - zapytał żartobliwie Rex.

Zrozumiała, że tymi słowami każe jej zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło.

Zaczął zbierać czarne włosy z podłogi, brudne ubranie, które miał na sobie E.17, kilka przesiąkniętych krwią zwitków waty i zapakował to wszystko razem.

Potem popatrzył posepnie na zaplamiony krwią dywan.

- Usunę tę plamę - rzekła Quenella.

- Jak?

- Zimną wodą.

- Masz rację - stwierdził - ale ja to zrobię za ciebie.

Wziął jeden z ręczników i zaczął nim trzeć energicznie. Plamy krwi zniknęły, ale ręcznik wyglądał tragicznie.

Odpowiadając na nie zadane pytanie, Rex odpowiedział:

- Nie martw się. Kiedy oddalimy się z tego miejsca, pozbędę się ręczników i pozostałych rzeczy.

Rozejrzał się dookoła jakby sprawdzając, czy ich gość nie zostawił innych śladów swojej obecności.

- Tak chciałam dać mu coś konkretniejszego do jedzenia - zmartwiła się Quenella.

- Teraz ma pieniądze i poradzi sobie - odparł Rex. - Opium zabija głód, a poza tym zawsze ktoś nakarmi świątobliwego męża.

- Bardzo sprytnie go przebrałeś i nie sędzę, żeby go nawet własna matka rozpoznała. Czy on jest Anglikiem?

- O kim mówisz? - dopytywał się Rex. Quenella westchnęła z lekka.

- Zaczynasz być nieuprzejmy. Pozwoliłam mu wejść i nie podniosłam krzyku.

- Zachowałeś się wspaniale - powiedział Rex zupełnie innym tonem - dokładnie tak, jak bym tego oczekiwał od ciebie.

- Mówisz to, żeby mi sprawić przyjemność, czy dlatego, że naprawdę postąpiłam jak trzeba?

Quenella była jak dziecko domagające się pochwał.

- Postąpiłaś bardzo dobrze - rzekł Rex - a ponieważ jesteś moją żoną, takie sytuacje mogą się powtórzyć. Jutro, kiedy będziemy mieli trochę czasu, wprowadzę cię w kilka spraw, o których tak bardzo chciałabyś wiedzieć, że aż pękasz z ciekawości!

- Przyznaję, że to prawda - Quenella odpowiedziała z uśmiechem.

Jej oczy napotkały jego wzrok i nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko przezroczystą koszulę nocną i że on jest nagi do pasa.

Tak była pochłonięta wydarzeniami i tak bardzo chciała ocalić tego człowieka, że nie zwróciła na to uwagi.

Kiedy rumieńce wstydu zaczęły pojawiać się na jej policzkach, Rex rzucił pośpiesznie:

- Dziękuję, Quenello. Byłaś wspaniała! Idź teraz spać i pamiętaj, że ocaliłaś życie człowiekowi, który gotów był je poświęcić dla Indii.

Mówiąc to wyszedł z jej przedziału, zamykając za sobą drzwi.

Quenella usiadła na brzegu łóżka.

Czy to się naprawdę zdarzyło? Czy ta szalona, jak z sensacyjnej powieści przygoda naprawdę jej się przytrafiła?

Wszystkiego mogła się spodziewać po tym małżeństwie i po Indiach, ale to przechodziło wszelkie granice wyobraźni. Przyszło jej do głowy, że wszystkie wieści o stryju, których się raczej domyślała, niż o nich słyszała, powinny ją przygotować do takich sytuacji. Nic dziwnego, że wyrażał się o Rexie Daviocie z nutą podziwu w głosie.

Przypomniała sobie, że słyszała o wspaniałej brytyjskiej siatce kontrwywiadu, która pozwala radzić sobie z Rosjanami.

Teraz już było dla niej oczywiste, że jej mąż oraz nocny gość byli głęboko zaangażowani w Wielką Grę.

To, co się wydarzyło, było niezwykle podniecające, jednocześnie Rex zachowywał się rozsądnie i spokojnie, nie bała się więc, że może się to powtórzyć w przyszłości. Gorąco pragnęła, by nie minął jej udział w kolejnej przygodzie.

Lęk, który ją ogarnął, gdy E.17 upadł u jej stóp i myślała, że jest martwy, był zupełnie odmienny od strachu, jaki odczuwała, gdy zaatakował ją książkę.

Był bardziej głęboki, bardziej intensywny.

Idąc wreszcie spać, pomyślała:

„Jutro Rex powie mi tyle rzeczy, o których chcę wiedzieć”.

Zasypiała z myślą, że nie ma nic cudowniejszego niż poczucie, że otwierają się nowe horyzonty, dotąd leżące prawie poza sferą marzeń.

I nie tylko o Indie chodziło, o ich różnorodne religie, zróżnicowane społeczeństwo, chwytające za serce piękno, ale również o coś innego, bardziej istotnego.

O ludzi służących swymi umysłami, by przeciwstawić się złu. Rex był na samym szczycie tej hierarchii.

„Pomogłam mu dziś w nocy i będę próbowała pomagać nadal”, zasypiając mruknęła Quenella.

Rex w swym przedziale pociął brudne ubranie E. 17 na małe kawałki.

Zostawienie tobołka na torach byłoby błędem; mogło być śladem prowadzącym do tego właśnie pociągu.

„Nigdy nie ryzykuj niepotrzebnie” to przestroga wbijana do głowy wszystkim biorącym udział w Wielkiej Grze...

„Nigdy i nigdzie nie zostawiaj śladów obecności”.

Włosów łatwo było się pozbyć. Rozdzielił je i po godzinie, kiedy pociąg nabrał już szybkości, otworzył okno i wyrzucał powoli, małymi porcjami.

Z ręcznikiem też poszło łatwo. Podarł go, wytarł nim podłogę, zamoczył w wodzie i wyrzucił; mógł tak zrobić każdy leniwy służący, uznając, że nie warto go już prać.

Kiedy pozbył się części rzeczy, a pozostałe czekały na swą kolej, wyciągnął schowaną u pasa wiadomość.

Przeczytał uważnie, spalił w popielniczce, a potem usiadł na łóżku i napisał telegram do pewnego drobnego sklepikarza w Delhi:

Przesyłkę otrzymałem, trochę uszkodzona w czasie przewozu. Przyślij dalsze dostawy zgodnie z umową.

Nie złożył podpisu. Rano, na najbliższym postoju, służący zanieś depezę do zawiadowcy stacji, aby ją natychmiast nadał.

Położył się na łóżku i zamknął oczy.

Nie myślał jednak o E.17 śpiącym spokojnie na peronie, ani o tych, którzy gorączkowo go poszukiwali w tłumie,

przetrząsając stację w poszukiwaniu mężczyzny z krwawiącym policzkiem i raną od noża.

Myślał o Quenelli.

Zdumiewająco rozsądnie zachowała się w obliczu niebezpieczeństwa.

Inna kobieta, na przykład Kitty Barnstaple, zaczęłaby krzyczeć albo zemdlałaby, gdyby ktoś wyglądający na tubylca wtargnął do jej przedziału.

Quenella zachowała się tak, jak należało oczekiwać od bratanicy sir Terence'a.

Jednakowoż nie mieszkała z wujostwem zbyt długo i z pewnością w swym życiu nie spotkała większego niebezpieczeństwa, niż szaleńcze pożądanie jej urody przez księcia.

Tu zdarzyło się coś zupełnie innego: człowiek walczył o życie i kobieta mogła go ocalić albo zabić niewłaściwym zachowaniem.

„Mogłem przypuszczać, że ona okaże się inna”, mruknął Rex.

Rozdział 6

Zanim dojechali do Lucknow Rex zrozumiał, że się zakochał tak jak nigdy w swoim życiu.

Uświadomił to sobie w chwili, gdy będąc w przedziale Quenelli spostrzegł nagle, że ma ona na sobie tylko przezroczystą nocną koszulę, a on jest nagi do pasa.

Podobnie jak ona był tak pochłonięty zmienianiem powierzchowności E.17 i wyprawieniem go w drogę przed odjazdem pociągu, że nie myślał o Quenelli inaczej niż jako o swojej pomocnicy.

Kiedy zostali już sami, zobaczył na jej twarzy, jak bardzo się go wstydzi, a sam bardzo wyraziście uświadomił sobie jej kobiecość.

Ogarnęło go nieopanowane pragnienie, by wziąć ją w ramiona i namiętnie całować.

Czuł pulsującą w skroniach krew, a pożądanie ogarniało jego ciało jak najgwałtowniejszy płomień. Zapragnął jej w tamtej chwili tak gwałtownie, że zrozumiał jak trafne było porównanie Quenelli do tygryskiej lilii. Pod powierzchownością czystej lilii płonął w niej żywy ogień, który tak roznamiętniał mężczyznę, że przestawał trzeźwo myśleć i mógł tylko działać podobnie jak kiedyś książę.

Ale Rex całe życie kontrolował swe zachowania i skrywał uczucia, potrafił więc się zmusić do nadania swemu głosowi obojętnego brzmienia i był pewien, że Quenella się nie przestraszyła.

Leżąc bezsennie przez resztę nocy, pragnął jej całym swoim ciałem i duszą. Uświadomił sobie, że zawładnęła nim wszechogarniająca miłość.

Wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie, że pragnąc uratować życie rannemu całkiem zapomniała o lodowatym chłdzie, obojętności i nienawiści, którym dawniej ulegała. Okazywała chęć pomocy, sympatię, współczucie i głębokie

zaangażowanie w dramat, w którym tak niespodzianie wzięła udział.

Były to dokładnie te cechy, których Rex oczekiwałby - gdyby kiedykolwiek o tym myślał - od swej żony: żeby była odważna, zaradna i jednocześnie kobieca.

Gdy następnego dnia spotkali się rano w salonie znajdującym się między ich przedziałami, Rex zmusił się, by zachowywać się tak samo jak poprzednio.

Pewnym rozbawieniem napawała go myśl, że spośród wielu charakterystycznych ról, jakie kreował na scenie swojego życia, ta zapowiada się najtrudniej.

Wiele myślał tej nocy i doszedł do wniosku, że jeśli Quenella ma się w nim zakochać - a jedynie Bóg wie, jak pragnie jej miłości - musi zabiegać o nią jak nigdy o żadną kobietę.

Wiedział, że przełamanie pierwszych barier między nimi odsłoni jedynie wiele następnych.

Najpierw musi sprawić, żeby mu ufała i zaintrygować ją tym, że jest inny niż wszyscy mężczyźni, których dotąd miała okazję spotkać.

Miał przed sobą długą drogę. Jedno pochopne słowo, jeden niekontrolowany gest wywoła znów strach w oczach Quenelli i znów zamknie się w świecie poprzednich lęków.

Gdy zobaczył Quenellę wchodzącą do środkowego przedziału w cienkiej, białej muślinowej sukni, nie mógł sobie darować poprzednich obaw, że nie wzbudzi w nim zainteresowania.

Umiała ukrywać wnętrze swej osobowości. Rex też często wprowadzał w błąd tysiące tubylców, udając na przykład fakira, któremu podświadomie okazywali szacunek.

Zamykał drzwi do swego prawdziwego „ja”, tak jak czyniła to Quenella.

Rozumiał teraz, że różniła się od wszystkich kobiet, które dotąd znał. Postanowił ją zdobyć, choćby miało mu to zająć całe życie.

Rex Daviot nigdy nie musiał uganiać się za żadną kobietą! Zawsze one to czyniły, wpadając mu w ramiona zanim jeszcze gotów był odwzajemnić uczucie.

Fascynowało go zdobywanie Quenelli. Zapowiadało się trudniej niż wszystkie jego rozgrywki w Wielkiej Grze; przyznał się do tego z rozbijającą szczerością. Wiedział jednocześnie, chociaż ona nie uświadamiała sobie tego, że już kiedyś istniała między nimi duchowa więź i że jego zadaniem będzie przekonanie jej, iż ich wcielenia przenikają się wzajemnie i do siebie współnależą.

Kiedy znowu usiadła na swym miejscu przy oknie, blask rozświetlał jej oczy, a uśmiech lekką warstwą kładł się na wargach.

Byli sami i Quenella, zerknąwszy najpierw przez ramię, powiedziała cicho:

- Modliłam się, żeby udało mu się uciec, ale czy kiedykolwiek dowiemy się, jaki był koniec tej historii?

Rex potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że uciekł, ale najlepiej nie zadawać pytań.

Westchnęła cicho, a potem dodała:

- To było wprost niewiarygodne; teraz zawsze będę się o ciebie lękała.

- O mnie?

- Mogłam okazać się głupia i nie otworzyć drzwi, gdy mnie o to prosił.

Rex zrozumiał, co próbowała powiedzieć, i po chwili rzekł:

- Zapewniam cię, że na swoim nowym stanowisku mam zupełnie inne zadania. Prawdę mówiąc, po tym, co się

zdarzyło ostatniej nocy, mogą ci się wydać nieciekawe i monotonne.

- Nie sądzę, żeby życie w Indiach mogło być nudne - odparła Quenella - ale chciałabym ci pomóc i też mieć swój udział w Wielkiej Grze.

Rex uśmiechnął się.

- Obawiam się, że to będzie niemożliwe dla kogoś o takiej pozycji. Chociaż czasami kobiety mogą też pomóc. Przykładem jest wczorajszy wieczór.

- Wyjaśnij mi, o co chodzi w Wielkiej Grze - poprosiła. - Sama widziałam jakie to niebezpieczne, ale co ona naprawdę oznacza; nazwę ma typowo brytyjską.

- To prawda - odparł Rex.

Ścisłym głosem wprowadził ją w zagadnienie angielsko - rosyjskiej rywalizacji w Azji Środkowej i systemów wywiadowczych rozbudowanych w jej wyniku.

Nie uchylił zbyt daleko rąbka tajemnicy. Ujawnił nie więcej niż wiedział każdy starszy oficer i, niestety, wiele osób poza armią. Jednocześnie uświadomił Quenelli, że uczestnicy Wielkiej Gry są niezbędni dla ochrony Indii i utrzymania pokoju na Wschodzie. Są szkoleni i wtajemniczani w skomplikowane zadania, a ich życie zależy od umiejętności zachowania się w zależności od sytuacji.

Kiedy Rex po raz pierwszy służył na północno - zachodnim pograniczu, odkrył, że Wielka Gra oplątuje siatką całe Indie i składa się nie tylko z Europejczyków, lecz także z wielkiej liczby Hindusów.

W Indyjskim Departamencie Miernictwa w pieczołowicie strzeżonej księdze znajdowała się lista numerów oznaczających poszczególnych ludzi i ich tajemnice, wobec których Rosjanie i inni wrogowie kraju często okazywali się bezsilni i narażeni na cios w najmniej oczekiwanej chwili.

Na przykład R.32 nie miał najmniejszego pojęcia o tożsamości M.14, z którym się kontaktował, a D.7 nic nie wiedział o G.12.

Ale czasami, jak ostatniej nocy, w momentach skrajnego zagrożenia był ktoś, kto im pomagał, ktoś, do kogo mogli się odwołać w ostatecznej potrzebie.

Rex nie miał pojęcia, skąd E.17 znał jego tożsamość. Nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka i istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by kiedykolwiek ponownie nawiązali kontakt.

Ale fakt, że E.17 szukał jego pomocy, uświadomił Rexowi konieczność jeszcze większej ostrożności.

Racja była po stronie sir Terence'a, który perswadował mu wytrwale, by na jakiś czas opuścił północno - zachodnie pogranicze i te okolice, gdzie odnosił sukcesy.

Opowiadanie Rexa przeciągnęło się aż do lunchu. Właśnie służący wniósł posiłek dostarczony ze stacji, na której się zatrzymali. Jak zwykle na indyjskich stacjach, panował na niej zgiełk i rozgardiasz.

Quenella przeszła na drugą stronę przedziału i podniosła żaluzje. Wiedział, że przygląda się tłumom z nową ciekawością i wzrastającym zainteresowaniem.

Jak wielu z tych przepychających się, krzyczących ludzi obładowanych bagażami jest uwikłanych w tę intrygę? Bywa, że pozostają po niej jakieś zwłoki na skraju drogi lub zameczony na śmierć człowiek, który strzegł pilnie swoich tajemnic.

Stała z boku, żeby i on mógł wyrzec.

Zatrzymał wzrok na miękkich krągłościach jej piersi, szczupłej talii. Spojrzał na jej doskonały, niemal grecki profil. W tle jawił się kalejdoskop kolorów i kształtów. Krew ponownie uderzyła mu do głowy, a serce zaczęło bić w piersi jak oszalałe.

Zmusił się do wyrznięcia przez okno i zadał sobie w duchu pytanie, jak długo jeszcze zdoła zachowywać się w ten sposób.

Chłodna uprzejmość i obojętność już nie wchodziły w rachubę.

„Skoro jestem wystarczająco silny, by poskromić rosyjskie ambicje i pogmatwać najprzewrotniejsze plany politycznych wrogów”, pomyślał, „z pewnością uda mi się nakłonić tę młodą damę, by mnie pokochała”.

Ale Quenella nie była zwyczajną młodą damą!

I wtedy, jak zawsze w momentach zakłopotania i niepewności, ujrzał szybujące po niebie dwa złociste orły.

Widział je tak wyraźnie, jakby sam wzleciał w niebo na ich spotkanie.

Szybowały wytrwale, aż nagle, z szybkością pocisku i z nieopisanym wdziękiem, dały nurka w głąb zalanej słońcem doliny.

Złociste orły przywróciły mu moc.

W reszcie dojechali do Lucknow. Quenella była oczarowana pięknem kraju: polami błękitnego lnu, żółtej gorczycy, polaciami trzciny cukrowej.

Mijali tropikalne dżungle i bagniste aluwialne równiny, a wszystko to znajdowało się u stóp pokrytych śniegami łańcuchów górskich.

Kochała patrzeć na poziome smugi dymu unoszące się nad wioskami o zachodzie słońca, na bydło wracające do domu w chmurze beżowego pyłu.

A teraz ujrzała miasto, które miało być jej domem.

Rex już wcześniej powiedział Quenelli, że w dawnych czasach Lucknow było stolicą królów Oudh, i że jest to miasto, w którym wspaniałość ociera się o nędzę: miasto przyjemności, rozpusty i intryg, do którego ciągną awanturnicy z całej Azji.

Quenella oczekiwała tego wszystkiego w podnieceniu, ale rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia.

Lucknow znane było z uprawy najcenniejszych róż w Indiach, a także z najwspanialszych bajader (Bajadera - hinduska tancerka kultowa, pełniąca służbę przy świątyni Buddy.).

Na początku jednak Quenella ujrzała mrowie lepierek, ulice zatłoczone ludźmi najróżniejszego pokroju i dzikimi zwierzętami, włączając w to skrepowane tygrysy.

Były tam też pałace, meczety i grobowce, trącające blichtrzem fantazyjne dzieła architektury, a także budynki władz otoczone szpalerami drzew. Gmachy te wyglądały bardzo brytyjsko.

Poprzednia rezydencja gubernatora, która była centrum straszliwego oblężenia w czasie powstania sipajów (Sipaje - indyjscy żołnierze w brytyjskiej armii.), została zachowana bez zmian.

Zrujnowana, bez dachu, naznaczona śladami pocisków; dwa tysiące europejskich kobiet i dzieci, które się tu schroniły, straciło życie. Wzruszenie odbierało głos patrzącym na te ruiny. Pozostały pomnikiem brytyjskiego męstwa.

W tych trudnych czerwcowych dniach roku 1857 prawie pięć tysięcy ludzi znajdowało się na obszarze narażonej na ostrzał, otoczonej murami rezydencji. Ogień muszkietów był tak gwałtowny, a kanonada trwała nieustannie, że utrzymanie pozycji stało się niemożliwe i część rezydencji padła. Ci, co przeżyli, wytrwali następne osiemdziesiąt siedem dni nękani upałem, chorobami i głodem. Odsiecz przyszła dopiero pod koniec września.

Po zakończeniu walk główny komisarz przeniósł rezydencję do południowo - wschodniej części miasta. Budynek zwał się Hayat Bakhsh Kothi, czyli „Życiodajny

Dom" jak na ironię, gdyż poprzednio był w nim magazyn prochu.

W czasach powstania Brytyjczycy nazywali go po prostu „bungalowem na skarpie”.

Ze względu na bardzo dobre położenie, został po prostu powiększony i wciąż rozbudowywany przez kolejnych gubernatorów. Zmieniono mu dach, dobudowano górne piętro, dodano werandy i obecnie „bungalow na skarpie” był dużą i wygodną siedzibą gubernatora.

Nowe kuchnie, sala balowa i brama wjazdowa nadawały mu imponujący wygląd. Quenella wpadła w zachwyt na widok ogromnych, wysokich pokojów z białymi ścianami i marmurowymi posadzkami.

Szczególnie przypadł jej do gustu kamienny kominek w orientalnym stylu, zdobiony rzeźbami chryzantem, syren i ryb.

Jeszcze przed obejrzeniem posiadłości Rex z małżonką wzięli udział w uroczystej ceremonii. Prezes sądu i inni dygnitarze miejscy zgromadzili się w jednym końcu sali balowej; pułkowa orkiestra grała na galerii.

Wkroczyli przy dźwiękach fanfar i Rex zajął miejsce na złotym tronie.

Gdy uroczystość już się zakończyła, siedemnaście armat zagrzmiało ogłuszającą salwą na dziedzińcu, Rex i Quenella, przy dźwiękach „Marsza Gwiazdy Indii”, zeszli po czerwonym dywanie, prowadząc wszystkich gości do sąsiedniej sali, gdzie podawano przekąski i szampana.

Najbardziej jednak poruszyły Quenellę ogrody.

Spodziewała się kwiatów w Lucknow, ale nie w takiej obfitości, nie tak wspaniałych. Ich kolory zapierały w piersi dech.

Później odkryła bazar, pełen haftowanych srebrem i złotem sari, glinianych naczyń i figurek, pełen egzotycznego zgiełku. Był tak fascynujący, że ciągle tam wracała.

Ale na razie klomby pełne wonnych róż i przesycające powietrze swym zapachem kwiaty drzew asoka zbyt ją zachwyciły, by zapuszczać się poza obręb ogrodów.

Trawniki odchwasczała i podlewała cała armia ogrodników; kwiaty na krzewach i drzewach swym nieprzebranym bogactwem wywoływały u przechadzającej się Quenelli wrażenie, że nigdy nie nasyci się ich nieskażonym pięknem.

Rex natomiast znalazł w ogrodach coś zupełnie innego.

„Memsahibki” próbowały uprawiać w Indiach typowo angielskie kwiaty, które przypominały im dom. Bratki, astry, foksje, nasturcje czy nagietki nie bardzo chciały rosnąć w Indiach. Zawsze wyglądały trochę chęrlawo, jakby nie dawały sobie rady z bogactwem miejscowej roślinności. Nie zważając na to, każda Angielka uprawiała rodzime gatunki. W ogrodach rezydencji można było znaleźć stokrotki, astry i żonkile, sprowadzone przez lady Hyall, żonę ostatniego gubernatora, lub przez lady Couper, jej poprzedniczkę.

Ku swemu najwyższemu zdumieniu Rex znalazł między nimi kępkę lilii tygrysiach.

Bóg jeden wie, jaką drogą trafiły do Indii z Ameryki Południowej, skoro do Europy dotarły dopiero na początku dziewiętnastego wieku!

Ale były tam, wybujałe, wyzywające, egzotyczne, a ich pomarańczowe, czarno nakrapiane płatki przypominały mu jego drapieżne uczucia, gdy po raz pierwszy spotkał Quenellę, i zapowiadały, co może się kryć za dziewiczymi śniegami jej obojętności.

Gdy znalazł lilie, stanął i wpatrywał się w nie przez dłuższy czas.

Czy rozbudzi w Quenelli to, co Kitty Barnstaple nazywała „ogniem miłości”?

Wiedział, że jej umysł kieruje się ku horyzontom wiedzy, jej uczucia ku najgłębszym prawdom, a to wszystko jest niezbędne w doskonaleniu duszy.

Kriszna symbolizował zespolenie duchowej i człowieczej miłości; Rex pragnął obu jej rodzajów od umiłowanej przez niego kobiety.

Czy kiedykolwiek nadejdzie chwila, gdy razem sięgną szczytów ekstazy, i staną się ludzcy i boscy zarazem?

Lękał się odpowiedzi na to pytanie, ale kiedy wrócił do domu, polecił służbie zerwać kilka czarno nakrapianych kwiatów i postawić na biurku w swoim gabinecie.

Quenella wkrótce zrozumiała, że trudniej jest jej spotkać Rexa w rezydencji, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażała.

Podczas podróży statkiem byli ciągle razem, podróż pociągiem też obfitowała we wspólne pogawędki. Ale tu, w siedzibie gubernatora, zawsze znaleźli się ludzie, którym należało poświęcić uwagę. Adiutantów i służących przestała nawet liczyć.

Kiedy wyjeżdżali powozem eskortowanym przez szwadron kawalerii, oznaczało to, że podróż wieńczyła zawsze uroczystość, w której musieli wziąć udział.

Również każda ważniejsza osobistość musiała zaprosić nowego gubernatora, a także być przyjęta i wysłuchana przez niego.

Niespodziewanie zateęskniła za chwilą, kiedy będą tylko we dwoje. Uświadomiła sobie, że gubernator i jego żona mogą bez świadków przebywać tylko wtedy, gdy śpią we wspaniałym łóżu stojącym w jej sypialni. Tam przynajmniej mogliby rozmawiać o sekretnych i osobistych sprawach, bo nie mieli na to czasu o żadnej innej porze dnia.

Rumieniec na policzki Quenelli przywiodła myśl, co powie Rex, jeśli poprosi go, by przyszedł do jej buduaru, gdy będą się udawali na spoczynek.

Oczywiście chciała z nim tylko porozmawiać o swoich lekturach i być może poprosić, żeby dawał jej dalsze lekcje, tak jak to było w czasie morskiej podróży. Nie była jednak pewna, czy go to będzie jeszcze interesować.

Quenella wiedziała, że korzystając z nocnego spokoju pracuje do późna w swym gabinecie na parterze w drugim końcu budynku. Choć bardzo pragnęła kiedyś mu przerwać, na razie była zbyt nieśmiała, by spróbować.

Każdego ranka adiutant pukał do drzwi prywatnego salonu Quenelli i przedstawiał program dnia.

Poczuła wewnętrzną potrzebę, by wykreślić wszystkie punkty harmonogramu i zamiast nich napisać:

„Jego Ekscelencja i lady Daviot będą dziś przebywali sami od piątej do siódmej!”

Albo jeszcze inaczej:

„... od dziesiątej do północy!”

Adiutant byłby zapewne bardzo zaskoczony, ale wiedziała, że nie może ryzykować upokorzenia, gdyby Rex się nie zgodził. Oczywiście cała służba wiedziałaby o jego odmowie.

Rex był Quenellą szczerze zainteresowany. Obsypywał żonę komplementami, był naprawdę uprzejmy i uroczy. Wprowadzał ją także w szczegóły wizyt i spotkań.

Postanowiła przedstawić Rexowi propozycję, żeby razem jadali śniadania, zanim zacznie się zgiełk dnia. Ale gdyby było mu miłe jej towarzystwo, wynalazłby sposób, by mogli być sami.

I wtedy niespodziewanie wszystko się zmieniło.

Quenella, ku swemu zdumieniu - choć powinna była to przewidzieć - dowiedziała się, że za dwa dni opuszczają Lucknow i jadą do Naini Tal, letniej stolicy północno - zachodnich prowincji.

Powinno być dla niej oczywiste, skoro wicekról wyjeżdża z Kalkuty do Simli, gubernator północno - zachodnich prowincji też ma letnią rezydencję w nieco chłodniejszych okolicach. Jak dotąd nie przyszło jej to do głowy.

Pewnego dnia Rex rzucił zdawkowo:

- Sądzę, że Naini Tal spodoba ci się. Bardzo chciałbym już tam być.

- Naini Tal? - Quenella uniosła pytająco brwi.

- Wyjeżdżamy tam w środę. Wiedziałaś o tym?

- Nikt mi nie powiedział. Nawet nie wiem, gdzie to jest.

Spojrzał zaskoczony, a potem dorzucił ze skruchą:

- Przepraszam cię bardzo. To wielki błąd z mojej strony, że ci o tym nie powiedziałem. Wybacz mi, proszę.

- Co ci mam wybaczyć?

- Że byłem tak opieszwały i nie pomyślałem, iż możesz nie wiedzieć, że gubernator prowincji mieszka w Naini Tal w okresie upałów, to znaczy od kwietnia.

- Gdzie to jest?

- Tam, gdzie wzruszenie odbiera głos. To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

Takie stwierdzenie podekscytowało Quenellę ogromnie. Kiedy dotarli do Naini Tal zrozumiała, dlaczego to miejsce tak przemawia do wyobraźni.

Dopiero w 1839 roku Brytyjczycy odkryli jezioro ukryte wśród lesistych wzgórz u podnóża Himalajów. Zgodnie z miejscową legendą, wyłoniło się z wyrwy, która była dziełem bogini Naini.

Jak dowiedziała się Quenella, miejsce to było zakazane dla obcych i kiedy w 1880 roku osunęła się ziemia grzebiąc w gruzach hotel „Victoria”, wielkie sale i bibliotekę, razem z wszystkimi tam zgromadzonymi, tubylcy orzekli, że była to zemsta bogini za wtargnięcie w jej odosobnione zacisze.

Ówczesny gubernator, sir John Strachey, nie uląkł się gniewu bogini. Wybudował nową rezydencję usytuowaną poza zasięgiem lawin, na wyniosłym wzgórzu, tysiąc dwieście stóp ponad poziomem jeziora.

Ta dziwna budowla w każdym szczególe była wzorowana na gotyckich zamkach. Okrągłe i ośmiokątne baszty zbudowano z żółtoszarego kamienia, który stopniowo zarastały pnącza.

Rezydencja wyglądała zatem jak fragment Szkocji i wydawała się całkiem nie na miejscu. Tu, w środku Himalajów, góry i doliny zamieszkiwały przecież legiony złośliwych duchów.

Jednakowoż Quenella była zachwycona gotyckimi lukami, prowadzącymi na szczyt wspaniałymi schodami z ciemnego drewna, boazeriami w jadalni, przyozdobionymi niewielką liczbą trofeów myśliwskich.

Kochała polana płonące na olbrzymich kominkach; w dzień panował tu upał, ale noce były chłodne.

Choć tak bardzo podziwiała kwiaty w Lucknow, bladły one w porównaniu z kwiatami w Naini Tal. Tu kwiaty rosły nawet w okolicznych lasach.

Kiedy przyjechali, w ogrodzie roztaczała się woń konwalii, stoki wzgórz były szkarłatne od rododendronów, różowe orchidee porastały pobocza ścieżek, a dzikie białe powojniki obejmowały krzewy w dżungli.

Quenella, zachwycona do utraty tchu, spoglądała na pokryte śniegiem Himalaje górujące nad Naini Tal, a trochę niżej - jak na scenie - szerokie na sześćdziesiąt mil równiny.

Od czasu przybycia do północno - zachodnich prowincji mogła nareszcie więcej widywać Rexa.

Chociaż życie towarzyskie nadal tu obowiązywało, wiązało się pewnymi trudnościami. Na proszony obiad, bal czy garden party (Garden party (ang.) - przyjęcie w ogrodzie.)

goście musieli odbyć męczącą drogę na szczyt wzgórza - rikszą, na kucyku lub jednokonnym powozikiem zwanym dandy.

Wydało się jej to dość zabawne, ale Rex zauważył proroczo:

- Mamy szczęście. Jestem pewien, że za kilka lat pojawią się tu samochody i ludzie będą wpadać w najmniej oczekiwanych momentach.

- Samochody? - zdziwiła się Quenella. Wprawdzie widziała już kilka samochodów w Anglii, ale jakoś nie pasowały jej do tutejszego krajobrazu. Oby przepowiednia Rexa nie była zbyt trafna!

Nadszedł wreszcie czas, kiedy nastąpił koniec powitalnych przyjęć. Quenella mogła cieszyć się samotnością i co ważniejsze, choć całkiem po cichu się do tego przyznawała, być razem z Rexem.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział pewnego dnia. Poprowadził ją przez gąszcz różowych i białych kosmos,

które rosły tuż przy domu, wzdłuż szpalerów hortensji, do miejsca, które przypominało typowy angielski park.

Rosły tam dęby, buki, kasztanowce, ale ich pnie pokrywały mchy i paprocie; skraj ścieżki porastały orchidee.

- Czy to bardzo duży obszar? - zapytała Quenella.

- W skład tego terenu wchodzi farma zaopatrująca rezydencję w mleko, mięso i drób, a także wiele akrów dżungli zamieszkaney przez dzikie zwierzęta!

Szli jakiś czas, aż Rex zatrzymał się i pokazał Quenelli wielką rozpadlinę; tu właśnie kiedyś obsunęła się ziemia.

Powstało tam urwisko wysokie na kilkaset stóp, które wydawało się bez dna, gdyż poniżej słały się chmurki.

Potem zobaczyła niebosiężne Himalaje, rysujące się na tle nieba, ich wierzchołki otoczone chmurami i słońce błyszczące złotem na nieskalanej bieli śniegów.

To piękno nie dało się opisać żadnymi słowami. Wtedy stojący za nią Rex powiedział cichutko:

- Kiedyś widziałem tu szybujące wysoko na niebie dwa złote orły. W nieokreślony sposób stały się one częścią mojej osobowości. Gdy jestem w niebezpieczeństwie albo muszę podjąć trudną decyzję, zawsze myślę o nich.

- I to ci pomaga? - spytała cicho Quenella.

- Zawsze pomagają mi podjąć decyzję - i nigdy się nie pomyliły.

Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy. Powiedział bardzo cicho:

- Widziałem je również wtedy, gdy miałem zdecydować, czy przyjąć zaproszenie twojego stryja. Miałem poznać tam ciebie,

- One ci powiedziały, żeby przyjść?

Nie wiedziała dlaczego, ale słowa z trudnością przechodziły jej przez gardło.

- Orły powiedziały, że to moje przeznaczenie.

- Szkoda, że... nie wiedziałam wcześniej,

- Dlaczego?

- Myślę, że zmarnowałam mnóstwo czasu, obawiając się ciebie i nienawidząc.

- Rozumiem, co czułaś.

- Wiem, że rozumiesz i to mnie właśnie złości.

- A teraz?

Jej oczy rozbłysły, a uśmiech rozświetlił delikatną twarz.

- Teraz się cieszę, że orły dobrze ci doradziły. Stali jakiś czas patrząc na słońce połyskujące na szczytach.

Zdawało się Rexowi, że nastąpiło porozumienie bez słów; obawiał się przerwać to milczenie.

Za chwilę mieli zawracać, a on pomyślał, że tyle jej jeszcze ma do powiedzenia. Nagle, wśród drzew, dostrzegli w oddali zbliżającego się adiutanta.

- Do diabła! - zaklął Rex pod nosem, a serce Quenelli zatrzymało się na chwilę ze strachu.

Wiedziała, że nie chciał, by im przeszkadzano w tym uroczym sam na sam. Słońce nagle wydało się bardziej złociste i Quenella odwróciła się, by zobaczyć, czy nadal oświetla szczyty gór.

Blask był oślepiający; Quenella z uczuciem, którego nie rozumiała i obawą, której nie umiała wyrazić słowami, patrzyła jak Rex gniewnie spogląda na adiutanta.

Dowiedział się od niego, że przybył ważny gość, którego należy przyjąć z pełnym ceremoniałem.

Przy najbliższej okazji, kiedy mogła wyrwać się sama z rezydencji, wróciła w to miejsce, gdzie ją owego dnia przyprowadził Rex.

Zdarzyło się to po pewnym nudnym przyjęciu, pełnym nieciekawych ludzi. Miała ochotę poprosić Rexa, by jej towarzyszył, dowiedziała się jednak przed wyjściem, że nie należy się spodziewać, aby w najbliższym czasie miał jakąś wolną chwilę.

Wyruszyła zatem samotnie, z parasolką w ręku i - wbrew konwenansom - bez kapelusza.

Czuła się cudownie. Była wolna, nie skrepowana protokołem i zwyczajami obowiązującymi w Lucknow.

Coś sobie śpiewała i tak wędrowała wśród orchidei, podziwiała białe powojniki oplatające drzewa, wspinające się na nie w niemal zmysłowy sposób.

Były tam też szkarłatne kwiaty dhak, znane drzewa semal, fiołkowe kwiaty bauhinias; przemieszczając się wśród nich poczuła, że tworzą idealną scenerię.

Scenerię czego?

Potem zrozumiała, widząc go w wyobraźni tańczącego wśród kwiatów, że to idealne miejsce dla Kriszny, przystań boga miłości.

Była już prawie na miejscu, gdy zorientowała się, że nie jest sama. Pod wiekowym cedrem zobaczyła zarys ludzkiej postaci.

Nie przelękała się, była tylko zaskoczona, nikt obcy nie miał bowiem prawa przebywać na terenie posiadłości.

Był to sadhu.

Widziała wcześniej wielu z nich, rozpoznała więc go natychmiast - żółta szata, niedbale przerzucona przez ramię, głowa ogolona na podobieństwo E.17, unoszący się w powietrzu nastrój świętości i oddalenia od przyziemnych spraw.

Zafascynowana jego obecnością zeszła ze ścieżki i mijając drzewa zatrzymała się tuż przed nim.

Był głęboko pogrążony w medytacji czy modlitwie; miał zamknięte oczy. Czekwała, czując podświadomie, że zdaje sobie sprawę z jej obecności, choć nie okazał tego żadnym gestem.

Wyglądał na mężczyznę około pięćdziesiątki, ale w rzeczywistości mógł być dużo starszy. Quenella wiedziała, że medytacje i ascetyczne życie, szczególnie wśród śniegów, sprawiały, iż sadhu wyglądali znacznie młodziej.

Kiedy zdawało się jej, że czeka bardzo długo, sadhu otworzył oczy i obdarzył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Wybacz mi, święty ojcze, jeśli ci przeszkadzam - rzekła Quenella w języku urdu - ale chciałam z tobą porozmawiać.

- Mów - odparł sadhu. - Zadaj pytanie, które chowasz głęboko w sercu.

- Pytanie...? - zająknęła się Quenella. - Ja chcę zrozumieć... poznać tyle rzeczy.

- Tylko w miłości znajdziesz to, czego szukasz! Słowa padały wolno, i sadhu mówił dalej. Quenella czuła, że brak jej tchu.

- Spoglądasz na góry, na wysokości. To dobrze, ale musisz też zejść na równiny. One się uzupełniają. Taka jest prawda. Taka jest droga objawienia.

- Nie sądzę... żebym... to rozumiała - odpowiedziała Quenella.

Sadhu spojrzał na nią, a jego ciemne oczy zdawały się : ' zagłębiać w najgłębsze zakamarki jej duszy.

- Rozumiesz - powiedział z namysłem - a miłość przepędza strach.

Zamknął oczy i Quenella zrozumiała, że ich rozmowa jest skończona.

Przez chwilę wahała się. Wiedziała, że nie zapomniał o niej, ale nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Nie śmiała mu więcej przeszkadzać.

Wracając myślała o setkach pytań, które chciała mu zadać, ale żadnego nie umiała sformułować. Stwierdziła, że pamięta tylko to, co jej powiedział:

„Miłość przepędza strach!”

Dziwne jej się wydało, że lęki, które ją osaczały, gdy opuszczała Anglię, całkiem zniknęły i w ogóle o nich nie pamiętała.

Uświadomiła sobie, że minęły tygodnie, a może i więcej, od chwili, kiedy ostatnio pomyślała o księciu.

Nienawiść i przerażenie, które miały ją zawsze prześladować, zniknęły w powodzi wspaniałych przeżyć, a zwłaszcza dzięki... Rexowi

Jawił się w jej myślach nie tylko wtedy, gdy przy niej był, ale i wówczas, gdy szła spać i kiedy się budziła.

I gwałtownie zapragnęła z nim być, dać mu się cieszyć swoją obecnością, słyszeć jego głos.

Impuls był tak silny, że nie mogła mu się oprzeć; odwróciła się i poszła w stronę rezydencji, nie idąc dalej - jak zamierzała - w stronę urwiska.

Nie trzymając się ścieżki, powędrowała najkrótszą drogą między drzewami. Droga do ogrodu prowadziła przez gąszcz rododendronów. W połączeniu z biało kwitnym powojnikiem tworzyły czarujący widok.

Teraz jednak chciała najszybciej dotrzeć do Rexa i przez nieuwagę zagubiła drogę w krzewach otaczających uprawną część ogrodu.

Pomyślała, że chyba mądrzej byłoby wrócić i podążać znaną już ścieżką z orchideami, ale zwyciężyła niecierpliwość i zaczęła przedzierać się przez gąszcz.

Nagle usłyszała głosy.

Zatrzymała się i usłyszała męski głos mówiący w urdu:

- Mędrzec może teraz w każdej chwili zadać cios.

Nie tylko słowo „cios” sprawiło, że Quenella znieruchomiała; sprawiło to również brzmienie cichego głosu. Był to wpół szept, wpół syk, w którym głoski zdawały się ślizgać po sobie.

- Jak tam wejdzie?

- Amar czeka na niego w piwnicy.

- Strażnicy mogą go zobaczyć.

- Nie, on pomaga Sadhinowi przy drewnie; głupi strażnicy nie zauważą dwóch palaczy zamiast jednego.

- To sprytne!

- Ci, co rozkazali są sprytni!

- To prawda, no i dobrze płacą.

Nastąpiła niczym nie zmacona cisza i Quenella słyszała swój oddech. Potem pierwszy z mężczyzn odezwał się:

- Jak Amar dostanie się do sahiba lorda?

- On już tam jest. Całkiem łatwo. Sahib lord idzie do gabinetu. Kiedy gości nie ma, ogień się nie pali, Sadhin wspiął się z piwnicy do kominka.

- To sprytne... bardzo sprytne!

- Przejście było przygotowane już dwa dni temu.

- Sprytny plan, bardzo sprytny plan! Mężczyźni zachichotali i nagle Quenella zdała sobie sprawę z wagi tej rozmowy.

Był to kolejny ruch w Wielkiej Grze, Przygotowywano morderstwo Rexa. Tym razem Rosjanie - bo któż inny jak nie oni - przekupili dwóch Judzi zatrudnionych w rezydencji.

Poruszając się wolno, by nie zdradzić swej obecności, ostrożnie stawiając nogi, żeby nie nadepnąć na gałązki, i za żadną cenę nie zwrócić na siebie uwagi, Quenella wycofała się z gąszczu rododendronów.

Ruszyła w kierunku, który - jak sądziła - pozwoli jej dojść do ścieżki z orchideami, omijając mężczyzn. Ale kiedy już uznała, że może poruszać się szybciej, z przerażeniem uświadomiła sobie, iż znowu zgubiła drogę.

Nie mogła dostrzec żadnego znajomego miejsca i nie tylko, że nie widziała żadnej ścieżki prowadzącej do rezydencji, ale i samego domostwa.

Były oczywiście drzewa, ale wszystkie jednakowe, oplątane powojnikami wyglądały tak samo. Były całe mile rododendronów i żadnego przejścia między nimi.

Jak oszalała skręcała w różne strony i zawracała, przedzierała się przez krzewy i z rosnącym przerażeniem uświadamiała sobie, że czas upływa i robi się coraz później.

Kimkolwiek byli ci ludzie, wiedzieli dobrze, że Rex znajdzie się w swym gabinecie zaraz po trzeciej lub niewiele później.

Gdyby był później, rozpalono by ogień i Amarowi trudno byłoby zacząć w głębi wielkiego kominka i zaskoczyć Rexa, kiedy będzie sam.

Choć Quenella nie widziała gabinetu Rexa, miała wrażenie, że biurko znajduje się przy oknie, co znaczy, iż kominek jest z jego prawej strony lub z lewej, albo za plecami.

Jak łatwo zadać cios nożem albo strzelić od tyłu!

Nie była tego całkiem pewna, ale ponieważ znajdowali się w górach, napastnik może użyć noża, długiego, zakrzywionego i ostrego. Brytyjscy żołnierze obawiali się go tak samo jak kuli karabinowej.

- Rex! Rex!

Wiedziała, że aby go ocalić, musi dotrzeć zanim Amar zdąży zaatakować; ale zablądziła, zgubiła się w gęstwinie kwiatów, która wydawała się jej teraz bardziej piekłem niż rajem.

Nagle, kiedy poczuła, że za chwilę zacznie krzyczeć w nadziei, iż ją ktoś usłyszy, zobaczyła przed sobą ścieżkę z orchideami, a między drzewami prześwitujące wieżyczki domu!

Gdy to dostrzegła, miała uczucie, że słońce już tak nie piecze, cienie się wydłużają, a ocalenie Rexa jest sprawą minut.

Biegła szybciej niż kiedykolwiek przedtem, wiedząc, że musi dotrzeć do gabinetu. Za chwilę Rex pochylił się nad dokumentami, nieświadomy czyhającej na niego śmierci.

Przez całą długość parteru rezydencji biegł korytarz, a gabinet Rexa był usytuowany na samym końcu zachodniego skrzydła.

Salon, jadalnia i sala balowa, oddzielone od reszty pomieszczeń podobnie jak w Lucknow, znajdowały się w drugim końcu domu.

Czując, że nie ma czasu na wzywanie pomocy, na wyjaśnianie czegokolwiek wartownikom przed głównym wejściem, dotarła jak oszalała do frontowych drzwi i wtargnęła do przedpokoju, ignorując służbę patrzącą na nią w osłupieniu.

Zbyt dobrze wiedziała, że trudno jej będzie wyjaśnić przyczynę swego pośpiechu, a im też niełatwo będzie zrozumieć jej łamany urdu.

Skreśliła zatem w prawo i pobiegła korytarzem, który prowadził do gabinetu gubernatora.

Gwałtownie otworzyła drzwi i ujrzała, że pokój jest pusty. Rexa nie było w gabinecie!

Odetchnęła z ulgą, ale za chwilę zrobiło jej się słabo. Szósty zmysł kazał szybko zamknąć drzwi i wycofać się na korytarz.

Skoro Rex jest bezpieczny, należy złapać człowieka, który chce go zabić, i w ten sposób zabezpieczyć się na przyszłość.

Jej serce zaczynało powoli się uspokajać, wargi miała spierzchnięte; usiłowała domyślić się, kim byli ci dwaj ludzie spotkani w ogrodzie i co to za człowiek, który pomógł Amarowi dostać się do piwnicy.

Kiedy tak drżała, z trudem oddychając otwartymi ustami, usłyszała kroki i zobaczyła Rexa beztrósco maszerującego korytarzem w jej stronę.

Nie myśląc o niczym, nie pamiętając o tym, co zrobiła, świadoma tylko tego, że jest bezpieczny, że żyje, że może go ostrzec, podbiegła do męża.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, a Quenella rzuciła mu się w ramiona i przywarła do niego mocno, twarzą do twarzy.

Wyszeptała głosem, który z trudem mógł rozpoznać:

- Oni chcą cię zabić! Och, Rex, tam jest człowiek, który czeka, żeby cię zabić!

Rex z niedowierzaniem ogarnął ją ramionami, mocniej przytulił do siebie, a ona szeptała mu do ucha:

- On ukrył się w kominku, czeka aż będziesz sam... zapłacili mu...

Rex znów ją przygarnął i spytał spokojnym głosem:

- Wszystko w porządku. Nie drżysz tak, tylko opowiedz mi spokojnie, co się stało.

Ponieważ przerażenie minęło, a w jego ramionach było tak bezpiecznie, ponieważ nie wiedziała, co to za uczucie ją

ogarnęło... Quenella poczuła napływające do oczu łzy. Powoli zaczęły spływać po policzkach.

- Nie ruszaj się - powiedział Rex - opowiedz mi wszystko powoli i spokojnie.

- Zgubiłam się w ogrodzie i usłyszałam dwóch mężczyzn... rozmawiali.

- W urdu?

- W urdu, ale zrozumiałam.

- Mów dalej!

- Powiedzieli, że ktoś opłacił niejakiego Amara, a ten dostał się do domu wnosząc razem z Sadhinem drewno na opał. Ukrył się... w piwnicy i wspiał do... twojego gabinetu przez... kominek, otwór... przygotowali dwa... dni temu!

Przerwała, bo trudno jej było oddychać, ale Rex ponowił swą prośbę do ucha Quenelli:

- Mów dalej! Nie trać czasu.

- On cię chce zabić chyba nożem, kiedy będziesz za biurkiem... i tak się bałam, że się spóźnię!

- Ale się nie spóźniłaś - powiedział łagodnie. - Teraz słuchaj. Idź do pokoju adiutantów i powiedz komukolwiek, kto tam będzie, żeby natychmiast posłał dwóch żołnierzy. Niech pilnują drzwi do piwnicy.

Przestał mówić, a Quenella odchyliła głowę i spojrzała na niego.

- I niech przyśle tutaj... żołnierzy?

- Później - potwierdził Rex - kiedy ich zażądam.

Jej oczy szeroko otworzyły się ze zdumienia.

- Chyba nie chcesz... iść tam... sam?

- Wszystko będzie w porządku.

- Nie! Nie! Zacisnęła ręce na jego karku.

- Nie zniosłabym tego... gdyby cię zabili... proszę, Rex, pozwól żołnierzom iść... z tobą!

- Będę bardziej skuteczny niż żołnierze!

- Mogę się mylić, on może mieć rewolwer.
- Potrafię zadbać o siebie.
- Idziesz prosto w paszczę lwa, oni chcą cię zabić i jeśli...
nie zniósłabym tego!

Gdy to mówiła poczuła, że jego ramiona mocniej się zaciskają wokół jej ciała. Potem dorzucił:

- Zaufaj mi.
- Proszę... bądź bardziej ostrożny.
- Będę, bo mnie o to prosisz - odpowiedział. Spojrzała w górę na Rexa zapłakanymi oczami i błagała go nie tylko słowami, ale każdą cząstką swego ciała.

Spojrzał na nią, a potem - jakby nie mógł tego sobie odmówić - dotknął wargami jej ust.

Trwało to tylko sekundę. Po chwili była już wolna; wypuszczając ją z objęć, rzekł już całkiem innym tonem:

- Idź do pokoju adiutantów, tak jak ci mówiłem! To był rozkaz; i Rex już odchodził.

Chciała przywrzeć do niego kurczowo i błagać choćby na kolanach, żeby się nie narażał idąc sam do gabinetu.

Wiedziała jednak, że jej nie posłucha. Odwróciła się więc, by z rozpaczą z sercu spełnić rozkazy. Zrozumiała, że go kocha i gdyby miała go stracić, jej życie utraciłoby sens.

Rozdział 7

Kiedy Rex rozstał się z Quenellą, powoli i niespiesznie zaczął iść w stronę gabinetu.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i przez chwilę stał nieruchomo. Potem powiedział głośno zirytowanym tonem:

- Do diabła!

Podszedł do drzwi, zatrzasnął je, ale pozostał wewnątrz.

Przez chwilę stał spokojnie, rozglądając się po pokoju.

Quenella miała rację sądząc, że biurko stoi pod oknem i że kominek jest po lewej stronie.

Ktokolwiek czyha na niego, powinien się usytuować w lewym rogu pokoju, gdyż stamtąd łatwo mógłby go dostrzec przy biurku.

Pomieszczenie było dosyć duże; po chwili milczenia Rex zaczął bezgłośnie podchodzić do ściany, która nie była widoczna z jednego narożnika kominka.

Umiejętność bezgłośniego poruszania się - jedna z ważniejszych rzeczy, jakich uczono w Wielkiej Grze - była łatwa dla chodzących boso Hindusów. Dla Anglików noszących pantofle lub buty z cholewami było to dużo trudniejsze.

Na szczęście Rex po mistrzowsku opanował tę sztukę. Poruszał się bez najmniejszego dźwięku - niezależnie od tego, jakie obuwie miał na nogach - i w kilka sekund dotarł do wystającej ścianki marmurowego kominka.

Powoli, bez pośpiechu, wyciągnął z kieszeni drobną monetę i rzucił ją w drugi koniec pokoju.

Stara sztuczka okazała się w pełni skuteczna.

Czyhający w cieniu kominka mężczyzna wyjrzał, by zobaczyć, co to za hałas. W tej samej chwili stalowy pierścień zacisnął mu gardło, a dojmujący ból prawego nadgarstka kazał wypuścić nóż.

Quenella dotarła do pokoju adiutantów i wpadła do środka. Jedynie kapitan Anderson był na miejscu.

Siedział i coś czytał; gdyby Quenella nie była tak rozgorączkowana, mogłoby ją zainteresować, że była to książka o Tybecie.

Zalana łzami stanęła w drzwiach, oddychając pośpiesznie. Kapitan Anderson rzucił na nią okiem i natychmiast poderwał się na równe nogi.

- Wasza Wysokość...! - zaczął.

- Ma pan posłać... dwóch żołnierzy do drzwi piwnicy i... nikomu nie wolno wyjść - powiedziała Quenella. - Szybko! Szybko! Nie ma czasu do stracenia!

Kapitan Anderson nie zadawał pytań, po prostu wykonał rozkaz; wiedział, że to rozkaz gubernatora.

Adiutanci Rexa byli po prostu bezbłądni.

Kapitan Anderson szybko minął Quenellę; oparła się o drzwi, poczuła się dziwnie słabo. Jednocześnie cała była spięta, wiedząc, że Rexowi grozi niebezpieczeństwo.

Skąd mogła wiedzieć, jak mogła przypuszczać, że to miłość sprawiła, iż mało nie umarła ze strachu? To uczucie było jej dotąd całkiem obce.

Bała się tak, że chciała ściągnąć wartowników sprzed frontowych drzwi i wołać na pomoc służbę.

Tak jak kapitan Anderson wiedziała, że otrzymała rozkaz, i nie wolno jej go nie wykonać.

Powoli, z trudem poszła z powrotem długim korytarzem.

Zbliżając się do gabinetu nasłuchiwała i odnosiła wrażenie, że każdy odgłos przeszkadza jej w usłyszeniu głosu, który chciała usłyszeć najbardziej.

Cisza była złowieszcza, gdyż martwi nie mówią.

Kiedy zorientowała się, że wokół panuje cisza, była pewna, że Rex leży śmiertelnie wykrwawiony po ciosie noża. Wtem usłyszała jego głos.

Nie słyszała, co mówił, ale rozpoznając spokojny ton jego głosu odczuła tak wielką ulgę, że łzy znów popłynęły jej po policzkach.

Mówił bez przerwy, a od czasu do czasu dobiegał inny głos, skamlący, jak jej się wydawało, o łaskę.

„Dlaczego go nie zabił?”, pomyślała ze złością i aż przestraszyła ją własna krwiożerczość.

Gdy w grę wchodziło życie Rexa czy kogoś innego, nie miała żadnych wątpliwości.

Jeden czy tysiąc - niech wszyscy zginą, jeśli to ma ocalić Rexa!

Kilka minut później usłyszała kroki kapitana Andersona, który do niej dołączył. Właśnie w tej chwili Rex otworzył drzwi swego gabinetu.

Jego postać znalazła się w tle jasnej smugi światła i wszystko, co chciała powiedzieć, zamarło jej na ustach.

Patrzyła na niego jak na nieziemską zjawę, którą Niebiosa wysłały, by rozwiała jej obawy.

- Proszę wejść, kapitanie Anderson! - powiedział Rex do adiutanta; kiedy kapitan Anderson wszedł do gabinetu, Quenella podążyła za nim.

Na podłodze leżała nędzna postać; ręce miała związane własnym turbanem, a usta zakneblowane chusteczką do nosa nie mogły wydawać żadnych dźwięków.

Rex wskazał postać gestem ręki.

- Proszę zabrać tego człowieka i uwięzić - rzekł. Będzie oskarżony o kradzież, podobnie jak palacz, którego znajdzie pan w piwnicy. Dwaj ogrodnicy, Daud i Hari, też mają zostać aresztowani i będą oskarżeni o współudział w przygotowywaniu kradzieży. Nie wolno im kontaktować się między sobą.

- Rozumiem, Ekscelencjo - odparł kapitan Anderson.

- Ich aresztowanie należy w miarę możliwości utrzymać w tajemnicy - mówił dalej Rex - i proszę wydać rozkaz, żeby przyprowadzono dwa konie do bocznego wejścia. Wezmę ze sobą Azima.

Quenella wpatrywała się w Rexa ze zdziwieniem.

Wiedziała, że Azim był jego osobistym służącym, który spędził z nim wiele lat.

Dokąd się wybierał i dlaczego z Azimem?

Pytania miała na końcu języka; tymczasem kapitan Anderson, rzuciwszy najpierw okiem, czy leżący mężczyzna jest dobrze związany, wyszedł na korytarz.

Teraz Rex spojrzał na nią z uśmiechem.

Quenella chciała mu coś powiedzieć, ale wyciągnął ją z gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Dokąd się wybierasz? Po co ci potrzebny koń? - zaczęła, ale szybko jej przerwał.

- Wrócę najwcześniej, jak tylko będę mógł, ale mogę spóźnić się na kolację. Zajmij się wszystkim zanim wrócę. Nikt nie może nawet podejrzewać, że nie ma mnie w rezydencji.

- Rex! Rex! - krzyknęła boleśnie Quenella.

- Zaufaj mi, podobnie jak ja ufam tobie - powiedział. - Miałaś ochotę wziąć udział w Wielkiej Grze.

Chciała zaprotestować: Nie w ten sposób, o niczym nie wiedząc, jedynie przeczuwając, że znów będzie się narażał, a ona zostanie tutaj.

Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Rexa już nie było w pokoju, już szedł korytarzem.

Skręcił do nie używanego pokoju, który prowadził do innych schodów. Mógł nimi wejść do swojej sypialni nie będąc przez nikogo widzianym.

Przez chwilę miała wrażenie, że to wszystko jest ponad ludzką wytrzymałość.

Nie powinna się zgodzić, musi biec za nim i błagać, by wziął ją z sobą albo powiedział coś więcej.

Nie może zostać sam na sam z obawami i niepewnością, które jak nóż wbijały się jej w serce.

Wówczas przypomniła sobie, że Rex jej zaufał i że nie może go zawieść. Powoli i z godnością udała się do głównego hallu, a potem schodami do swego salonu.

W pobliżu nie było nikogo i nic na to nie wskazywało, że Rexa nie ma w apartamentach, które zamieszkuje gubernator z małżonką.

Apartamenty te składały się z obszernej sypialni, chłodnej i białej, w której sypiała Quenella. Trzy okna wychodziły na ogród; był z nich widok na piękną panoramę gór w oddali.

Następne drzwi prowadziły do pełnego kwiatów salonu Quenelli, który łączył się przejściem z sypialnią Rexa. Nigdy dotąd nie wchodziła do tej sypialni.

Quenella przysiadła na chwilę, a potem podeszła do okna. Nie widziała jednak urzekającego piękna krajobrazu; widziała tylko Rexa bez eskorty zmierzającego ku niebezpieczeństwu.

Choć nic nie powiedział, łatwo się było domyślić, że wyruszył, by odnaleźć organizatora niedoszłego morderstwa. Podejrzała, że jest to Rosjanin lub ktoś na żołdzie Rosjan, ktoś, dla kogo martwe ciało Rexa oznaczałoby moralne i rzeczywiste zwycięstwo.

Zakryła twarz dłońmi i cierpiąc w milczeniu przypomniła sobie, jak modliła się do Kriszny, by zesłał jej miłość.

Nie wiedziała wtedy, że miłość to broń obosieczna.

Kiedyś wierzyła, że jest ekstazą umysłu wznoszącą się na gorejące szczyty; była czymś zupełnie innym.

Teraz dopiero w pełni zrozumiała, co miał na myśli sadhu, kiedy powiedział: „Musisz też zejść na równiny”.

Tam właśnie znajdowała się teraz. Roztrzęsiona i rozdarta ludzkim cierpieniem, człowieczą namiętnością, miłością, która wcale nie była ekstazą; była czymś znacznie głębszym.

Poczuła, że drży od wewnętrznych przeżyć. Nagle przypomniała sobie spokojny, cichy, a jednak rozkazujący głos Rexa: „Zaufaj mi, jak ja ufam tobie”.

Patan, który przyjechał riksą zatrzymaną na skraju miasteczka Naini Tal wkroczył do obskurnego pensjonatu.

Pod zakurzonym niebieskim turbanem błyszczały oczy sokoła. Jego długa, brudna biała szata narzucona była na sięgające do kostek spodnie i oblepioną brudem tunikę przyozdobioną amuletami.

Poruszał się z gracją polującej pantery.

Patan był opasany bawełnianą szarfą, która nie tylko podtrzymywała spodnie i tunikę, lecz także ogromny skałkowy pistolet, dwa noże i długi zakrzywiony talwar; mógł nim z pewnością przeciąć w powietrzu piórko.

Za uszami miał wetknięte dwie róże. Nie zmieniało to jednak wrażenia, że jedynym celem i przyjemnością jest dla niego zadawanie śmierci - okrutnej i nie natychmiastowej.

Zbliżył się do właściciela pensjonatu - tłustego leniwego Babu, który całe oszczędności życia ulokował w tym lichym budynku - i zapytał gardłowym głosem:

- W którym pokoju znajdę obcego sahiba?

Babu spojrział podejrzliwie, ale był w pełni świadom jego ekwipunku.

- Oczekuje cię? - spytał.

Patan niezauważalnie kiwnął głową, i Babu wskazał koślawe, drewniane schody.

- Numer dwa.

Patan rozejrzał się po małym, brudnym hallu, a potem wspiał się na schody zuchwałym krokiem, tak charakterystycznym dla tubylców.

Mimo stu lat kontaktów z Patanami, Brytyjczykom nigdy nie udało się wyrobić o nich opinii.

„Bezlitośni, tchórzliwi rabusie, zdraźciecy mordercy zabijający z zimną krwią”, napisał jeden z oficerów z pogranicza. „Nic nie zmieni tych bezwstydných, okrutnych dzikusów”.

Ktoś inny opisał to plemię w diametralnie inny sposób:

„Patan jest odważny, zrównoważony, religijny na swój sposób, ma duże poczucie humoru i lubi rozrywki”.

Jakakolwiek by była opinia Babu o nowym gościu w pensjonacie, nie miał on ochoty dyskutować jej z człowiekiem, który właśnie wszedł na schody.

Patan wszedł do pokoju numer dwa bez pukania.

Na łóżku leżał cudzoziemiec, którego oczekiwał, człowiek z pewnością bardziej wykształcony, niż sugerował jego wygląd; jego rysy świadczyły, że pochodził spoza Indii i Afganistanu.

Ubrany był bardzo starannie, by sprawiać wrażenie turysty, za którego niewątpliwie chciał uchodzić.

Na stole leżało kilka płócien i pudło z farbami. Był to znany od dawna pretekst, pod którym włóczono się po himalajskim podgórzu, a słowo „artysta” mogło ukrywać wiele różnych zainteresowań.

Patan zamknął za sobą drzwi, a mężczyzna usiadł na łóżku.

Bardzo szybko było po wszystkim i dopiero następnego ranka Babu, zaniepokojony nieobecnością pensjonariusza, wszedł do sypialni i stwierdził, że obcy sahib dostał „ataku serca” i leży martwy w swym łóżku.

Nie było śladów przemocy ani żadnych śladów Patana, który z całą pewnością nie wyszedł z pensjonatu schodami.

Przecież drugie piętro niskiego budynku nie znajdowało się zbyt daleko od ziemi!

Wspominając ten dzień, Quenella nie mogła sobie przypomnieć, o czym rozmawiała z gośćmi, których przedstawiał jej kapitan Anderson. Naini Tal, jak się dowiedziała, miało opinię miejsca, gdzie pędzi się luksusowe życie: słodczyce, które podawano przed kolacją były z pewnością wyborne, a wino najwyraźniej smakowało gościom.

Ubierała się jak we śnie, pozwalając pokojówce wybrać suknię, biżuterię i ułożyć fryzurę.

Niewidzącymi oczyma patrzyła w lustro i zamiast swojej widziała w nim twarz Rexa.

Pamiętała, że dotknął jej swoimi ustami, ale był to tylko uspokajający gest, jakby pocałunek złożony na główce dziecka.

Pragnęła więcej od jego ust i od... niego.

W salonie zupełnie nie mogła się skoncentrować na treści prowadzonych rozmów, ale ponieważ goście się śmiali i najwyraźniej czuli swobodnie, doszła do wniosku, że postępowała należycie.

Próbowała się tylko powstrzymać przed patrzeniem co chwila na wielki zegar z brązu stojący na kominku.

Czy to możliwe, żeby czas płynął tak wolno?

Wiedziała, że kolacja jest już spóźniona o kwadrans. Wciąż jednak khitmagarzy ubrani w biel, czerwień i złoto napełniali kieliszki.

Nie wykonała żadnego kroku w stronę jadalni, gdzie na długim stole, nakrytym adamaszkowym obrusem, pyszniła się błyszcząca zastawa, a serwetki fantazyjnie poukładano na kształt wachlarzy i egzotycznych ptaków; wszystko było gotowe na przyjęcie gości.

„Rex! Rex!”

Quenella czuła, że jej serce wyrywa się do niego.

Co się mogło stać? Dlaczego jeszcze nie wrócił? Jak mogła mu pozwolić odejść, nie wiedząc dokąd idzie i co zamierza zrobić?

Miała w piersi kamień, który stawał się coraz większy, aż w końcu pozbawił ją oddechu.

W tym momencie khitmagar otworzył zamasyżycie drzwi i oto wszedł on - elegancko ubrany, obwieszony orderami i uśmiechnięty!

Wszyscy wstali, panie złożyły głęboki ukłon, panowie skłonili się unizenie.

Quenella poczuła się tak, jakby nagle zorza zapłonęła na niebie i rozświetliła pokój oślepiającym blaskiem.

Jej wzrok napotkał oczy Rexa i już wiedziała, że wszystko skończyło się dobrze.

Potem, kiedy już przedstawiono mu gości, podał Quenelli rękę i poprowadził ją do stołu. Ustawieni w szeregu khitmagarzy, jeden na każdego gościa, salutowali wchodzącym; taki był obyczaj w siedzibie gubernatora północno - zachodnich prowincji.

Rex milczał, ale na chwilę położył swą dłoń na jej ramieniu; zadrżała od tego dotknięcia.

Później Quenella uświadomiła sobie, że w czasie kolacji była bardzo ożywiona i konwersowała nadzwyczaj inteligentnie; potrafiła być dowcipna i rozbawić każdego, z kim prowadziła rozmowę.

Gdy już Rex się zjawił, czas zaczął płynąć szybciej i kiedy wieczór minął, Quenella myślała, że było to ich najbardziej udane przyjęcie. Nie pamiętała jednak ani jednego wypowiedzianego tam słowa.

Quenella i Rex w milczeniu wchodzili obok siebie na schody i dopiero kiedy dotarli do swych apartamentów, Quenella rzekła pośpiesznie, bojąc się, że zaraz powie jej „dobranoc”:

- Ja... muszę wiedzieć, musisz mi powiedzieć...

- Czy pozwolisz mi najpierw zdjąć ten elegancki strój? - zapytał. - Tobie też będzie wygodniej, jeśli się przebierzesz.

- Tak... oczywiście.

Każde z nich poszło do swojego pokoju.

Pokojówka czekała na swoją panią; była to Bengalka, wybrana specjalnie w Kalkucie, która służyła przedtem u żon innych gubernatorów. W referencjach miała napisane: „bardzo dobrze spełniająca swoje obowiązki”.

Pomogła Quenelli zdjąć suknię i odłożyła jej biżuterię.

- Czy wyszczotkować włosy Waszej Wysokości? - zapytała Nalini.

- Dzisiaj nie - odparła Quenella.

Pokojówka przyniosła z garderoby szlafroczek z lnianej satyny, obsyty białą koronką, z małymi błękitnymi kokardkami z atlasowej wstążki, i Quenella go włożyła.

- Możesz już iść, Nalini - rzekła. - Położę się do łóżka trochę później.

Pokojówka przygasiła światła, oprócz nocnej lampki, i wyszła z pokoju.

Quenella uklękła na grubym, białym futrzanym dywanie przed kominkiem.

„W tym pokoju przynajmniej nikt się nie chowa w kominku”, myślała.

Nie bała się ani przez chwilę.

Czekała. Jej serce biło jak oszalałe, a w ustach czuła suchość.

Drzwi otworzyły się i wszedł Rex. Miał na sobie długi, bardzo angielski szlafrok, obsyty z przodu galonem; sprawiał wrażenie wieczorowego stroju.

Ruszył ku niej, a Quenella podniosła się na równe nogi. Zanim zdążył podejść, jęła go pytać:

- Dobrze się czujesz? Czy nie jesteś ranny? Śmiech posłużył za odpowiedź.

- Jak widzisz, wróciłem nietknięty, tak jak planowałem.

- A ten... człowiek? Znalazłeś go?

- Znalazłem!

- Co się z nim stało?

- Czy to ważne? - zapytał.

Ich spojrzenia spotkały się i ważne stały się tylko jego szare oczy. Podszedł bliżej.

- Ocaliłaś mi życie, Quenello, i najpierw powinienem złożyć ci podziękowanie.

- To był przypadek... czysty przypadek - rzekła. - Przypuśćmy, że nie zgubiłabym drogi? Przypuśćmy, że nie podsłuchałabym rozmowy ogrodników?

- Czy to przypadek nas złączył? - zapytał Rex. - Przypadkiem się pobraliśmy, przypadkiem okazałaś się żoną, o jakiej - nie zdając sobie sprawy - zawsze marzyłem?

Oczy Quenelli rozwarły się szeroko.

- Czy to może być prawda?

- Ty przecież od razu spostrzegłabyś nieprawdę! Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku, a potem

Rex powiedział:

- Tyle mamy do omówienia, ale najpierw chciałbym ci podziękować za uratowanie mi życia i za łzy w twoich oczach, gdy odchodziłem.

Głos jego był miękki, łagodny i pełen uczucia. Sprawił, że Quenella zadrżała i przymknęła oczy.

- Lękam się - niespodziewanie powiedział Rex.

- Czego się lękasz? - spytała zaskoczona.

- Boję się, że się przerazisz, gdy powiem, co się dzieje w moim sercu.

- Nie musisz się bać.

- Jesteś tego pewna?

Nie była pewna, czy to ona zrobiła krok w stronę Rexa, czy przyciągnęły ją jego ramiona. Nagle była tak blisko, że musiał czuć szalone bicie jej serca.

- Dotknąłem twych ust w podzięcie - rzekł Rex niskim głosem - ale teraz chciałbym cię pocałować z całkiem innego powodu.

- Jaki to powód?

Podniosła ku niemu twarz i słowa uwięzły jej w gardle.

Oczekiwała pocałunku. Tymczasem palce Rexa zaczęły pieścić jej policzki, dotknęły uszu i powędrowały w dół ku szyi.

Zadrzała w uniesieniu i nie znanej dotąd rozkoszy; płomienny dreszcz przebiegł przez jej ciało, a wargi rozchyliły się tak, że nareszcie mogła swobodnie oddychać.

- Jesteś taka piękna! - rzekł - ale nie tylko twoja twarz mnie podnieca.

- Ja... cię podniecam? I usłyszała odpowiedź.

- Bardziej niż śmiem ci powiedzieć - odparł. - Przez ostatnie tygodnie prawie do szaleństwa doprowadzało mnie, że cię nie mogłem dotknąć, nie mogłem objąć tak jak teraz.

- Ja chciałam, żebyś to zrobił. Zagalopowała się, więc dodała, żeby być uczciwa:

- Ale nie uświadamiałam sobie tego aż do dzisiaj, kiedy pomyślałam, że mogę cię stracić, gdybym nie ostrzegła cię na czas.

Tyle bólu było w jej słowach, że Rex pojął jak cierpiała i przytulił ją do siebie mocniej.

Przez chwilę patrzył w jej oczy, a potem usta przywarły do jej warg.

Odnalazł tam płomień pod śniegami, ogień tak silny i gwałtowny, że pochłaniał wszystko poza ich pożądaniem.

Połączyli się, odnaleźli się po wiekach czekania, a płomienie miłości były wciąż wyżej i wyżej, tak że już nie mogli myśleć o niczym, mogli tylko to chłonąć...

Długo, długo później, kiedy polana na kominku wypaliły się już na popiół, Quenella rzekła:

- Myślałam, że już nigdy nie będę z tobą sam na sam, bo zawsze byli jacyś ludzie z nami i... zazdrościłam innym gubernatorom i ich żonom, którzy mogli być razem w tym łożu.

Usta Rexa ponownie dotknęły jej czoła i odpowiedział:

- Przynajmniej jest jeszcze coś przed nami, najdroższa i sądzę, że oboje w pełni na to zasługujemy.

- Co masz na myśli?

- Kiedy byliśmy w Anglii, obiecywano nam miodowy miesiąc w Lucknow. Myślę, że zasługujemy na taki miesiąc w Naini Tal.

- Miesiąc miodowy?

Choć ledwo usłyszał to pytanie, brzmiało w jego uszach jak muzyka.

- Czy tego właśnie chciałybyś?

- Będę zachwycona wszystkim, co pozwoli mi być z tobą, rozmawiać, a tobie pozwoli mnie kochać.

Zadrżała przy ostatnich słowach i jej ciało przyłgnęło do jego ciała.

- Zmarnowaliśmy tyle czasu - stwierdził Rex - ale teraz mam zamiar to wszystko odrobić.

- Czy oni ci pozwolą? - zapytała Quenella.

- Oni? Jacy oni? Jestem czy nie jestem gubernatorem prowincji, podlegającym, jak dotąd, tylko sobie?

Roześmiała się lekko.

- Więc może, Wasza Ekscelencjo, powiesz mi, jakie masz dla nas dwojga plany?

- Jest mi bardzo przykro - powiedział Rex cedząc słowa - ale przez najbliższe dwa tygodnie oboje będziemy cierpieć na wiosenną gorączkę, która uniemożliwi nam spełnianie oficjalnych obowiązków!

Quenella przytuliła się jeszcze mocniej.

- A czy ta... gorączka powoduje, że jakby... ogień zaczyna trawić człowieka od środka? - spytała.

- Dokładnie!

- I czy wywołuje u tych, co ją mają, dziwny skurcz gardła, który pozwala mówić tylko szeptem?

Rex przytaknął.

- I czy ich powieki są ciężkie, a wargi trochę spuchnięte?

- Niechybny objaw! Co jeszcze dzięki mnie czujesz?

- Jeszcze dużo, dużo więcej!

Głos Quenelli wibrował, kiedy mówiła dalej:

- Czuję, że uniosłeś mnie na szczyty gór, gdzie nikt wcześniej nie był, gdzie przebywają tylko bogowie.

Milczała dłuższą chwilę, po czym znowu podjęła.

- Czy ty też odczuwasz coś takiego?

- Dla mnie, najdroższa, nasza miłość jest spełnieniem i naprawdę nigdy nie czułem się tak szczęśliwy.

- Tak się cieszę, tak bardzo, bardzo się cieszę!

- Wszystko to można zawrzeć w jednym słowie - miłość!

- Kocham cię! Kocham!

- Pewna jesteś, że cię nie skrzywdziłem ani nie przestraszyłem? - spytał. - Chciałem, moje najdroższe kochanie, być delikatny i rozbudzać cię bardzo wolno, żeby cię czasem nie ogarnął lęk.

- Nie bałam się - odpowiedziała Quenella - ale nie zdawałam sobie sprawy, że można tak całkiem dać się pochłonąć żarowi i że to jest najdoskonalsza... najwspanialsza rzecz, jaka się może przydarzyć.

- Ogień miłości!

- To właśnie tak było.

Odgarnął jej włosy i wpatrywał się w jej twarz, widząc w słabym świetle gasnących polan jej przymglone oczy i zapraszające usta.

- Muszę cię tylu rzeczy nauczyć, mój cudowny kwiecie, a i ty musisz mnie nauczyć wiele.

- O czym myślisz?

- O zespoleniu naszych dusz, myśli i ciał - odpowiedział.

- Przeżywaliśmy wszystko samotnie. Teraz naszą radością będą te same odczucia, wspólne znajdowanie drogi na najwyższy szczyt.

- Mówiłeś, że można osiągnąć niemożliwe - wyszeptała Quenella - i miałeś rację.

Ostatnie słowo z jej warg Rex zgarnął swoimi ustami. Całował aż do utraty tchu, aż jej serce zaczęło bić w rytm jego serca. Upłynęła dłuższa chwila, i potem powiedział:

- Musisz się wyspać, najdroższa. Z samego rana wyruszamy na konną przejażdżkę.

- Dokąd jedziemy?

- Jest tyle miejsc, które chciałbym ci pokazać, świętych miejsc, których nie znają zwykli goście, którzy odwiedzają Naini Tal.

- To cudownie.

- Można tam dotrzeć tylko konno.

- Czy możemy pojechać sami?

- Jeżeli tylko nie boisz się spotkania z duchami i bogami, którzy mają siedziby w górach, to zapewniam cię, że żadna eskorta nie jest nam potrzebna.

Quenella delikatnie westchnęła, odczuwając szczęście bez granic.

- Och, Rex, nigdy nie myślałam, że coś tak cudownego może mnie czekać, ale nie chcę, żebyś się narażał.

- Naprawdę myślisz o mnie?

- A o kim? - zapytała. - Nie ma przecież nikogo innego. Ty jesteś całym światem, niebem, górami i... równiną.

Zawahała się przy ostatnim słowie, a Rex spytał:

- Dlaczego tak dziwnie powiedziałaś „równina”?

- Sadhu wypowiedział takie dziwne zdanie. - Jaki sadhu?

- Spotkałam go medytującego na terenie posiadłości. Powiedział mi, że szukam... szczytów, ale muszę też zejść... na równiny.

Zawahała się chwilę, a potem dodała:

- Wydaje mi się... że przez równiny rozumiał... żar i uniesienie, które przed chwilą przeżyłam razem z tobą.

- I mnie się tak wydaje.

- O, kochany! - wykrzyknęła żarliwie Quenella. - Kiedy opuszczałam Anglię, nawet nie śmiałam przypuszczać, że mnie tu to spotka!

- To dopiero początek! - odparł Rex. - Osiągniemy dużo więcej.

Chciał ją znów pocałować, ale odwróciła twarz i zapytała:

- Jest coś, co ci chcę jeszcze powiedzieć.

- Zamieniam się w słuch!

Wiedział, że dobiera słowa, i czekał. Nigdy nie przypuszczał, iż może istnieć tak wielkie szczęście.

Słowa Quenelli brzmiały w jego uszach jak muzyka:

- W książkach, które mi dałeś, wyczytałam, że hinduskie dziewczęta oddają boską cześć swojemu mężowi, gdyż wierzą, że jest on Kriszną, bogiem miłości.

- To prawda.

- Akt miłosny jest zatem świętością. Rex nie odezwał się, więc mówiła dalej:

- To właśnie czułam! Dla mnie jesteś wcieleniem Kriszny, miłość, którą mi dałeś jest święta i oddaję ci boską cześć.

Przytulił ją tak mocno, że nie mogła oddychać.

- Moja kochana, moja najcudowniejsza żono, nie wolno ci tak mówić. To ja będę cię ubóstwiać za twoją doskonałość.

Zarzuciła mu na szyję ramiona niepohamowanym gestem i przygarnęła jego twarz do swojej, jej usta szukały jego warg, a ciało przywarło do ciała.

Ogień namiętności zarzający się w nich buchnął płomieniami i wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Płonęli dziką i gwałtowną miłością, która unosiła ich ku szczytom ekstazy...

Był wczesny ranek i słońce nie grzało zbyt mocno, kiedy Rex podsadził Quenellę na osiodłanego konia, czekającego przed głównym wejściem do rezydencji.

Gdy wychodzili, dostrzegł ich kapitan Anderson.

- Służba ma zapakować lunch na jucznego konia i zostawić pod drzewami powyżej wodospadu Naini - polecił Rex. - Mają tam być w południe, potem zniknąć i sprzątnąć wszystko po dwóch godzinach.

Quenella, zadowolona, westchnęła delikatnie, ale nie przerwała.

- Dopilnuję, żeby wszystko było według rozkazu - odparł kapitan Anderson.

- I proszę wszystkich zawiadomić, że przez dwa tygodnie nie będzie żadnych oficjalnych spotkań - kontynuował Rex - a jeśli będą jakieś bardzo pilne sprawy, to pan się nimi zajmie.

Adiutant zawahał się, a potem zapytał:

- Jeśli będą jakieś wątpliwości, czy mogę je dziś wieczorem przedyskutować z Waszą Ekszelencją?

- Nie! - odparł stanowczo Rex. - Kolację będziemy jedli w salonie Jej Ekszelencji i tylko Azim będzie nam usługiwał. Wszyscy domownicy mają wiedzieć, że nie ma nas w rezydencji. Bez żadnych wyjątków.

- Tak jest, Wasza Ekszelencjo. Kapitan Anderson uśmiechnął się i dodał:

- Powodzenia, sir, i proszę przyjąć, choć trochę spóźnione, ale bardzo serdeczne życzenia.

- Dziękuję, Anderson.

Rex odwrócił się i wsiadł na konia. W tej samej chwili jeden z ogrodników właśnie zbliżał się do domu. Trzymał w jednym ręku ogromny kosz świeżo ściętych róż, w drugim zaś bukiet tygrysich lilii.

- Daj mi to! - powiedział Rex i wziął od niego kwiaty.

Odwrócił się na koniu i przymocował lilie z przodu siodła.

Odjechali, a kapitan Anderson i dwaj wartownicy przy głównym wejściu oddali im honory.

Gdy tylko wyjechali na porośnięte orchideami ścieżki przecinające park, Quenella spytała z zaciekawieniem:

- Dlaczego chciałeś mieć tygrysie lilie?

- Kwiaty te zawsze kojarzyłem z tobą - odparł Rex. - Symbolizują niewinność i dzikość tygrysa.

Zrozumiała, co próbował powiedzieć, i rumieniec okrył jej policzki.

- Co masz zamiar zrobić z nimi? - zapytała po chwili.

Rex spojrzał na pokryte śniegiem góry widoczne poprzez ukwiecone gałęzie drzew. Potem odwrócił wzrok na Quenellę.

- Mam zamiar złożyć je w pierwszej napotkanej świątyni poświęconej bogu miłości!

Ich oczy spotkały się. Wyglądała bardzo pociągająco na tle różnobarwnych kwiatów.

- Modliłam się do Kriszny, żeby dał mi miłość - cicho powiedziała Quenella. - Jak mogę mu za to podziękować?

- Mamy na to, najdroższa, całą wieczność.